

3 STYCZNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

SHIRLEY TEMPLE na tle drapaczy Nowego Jorku.



6469 III
Czasop.

do rozstania

MF 5331

MF 5331

1937

KARNAWAŁOWE ROZWAŻANIA

Biblioteka Jagiellońska



1001966375



Moda — symbol zbiorowego wysiłku wielkiej rzeszy artystów, specjalistów, rękodzielników, potentatów finansowych — najpotężniejsza na świecie dyktatorka, rządząca nie tyle duszą milionów ludzi, ile przede wszystkim ich kieszenia; moda — swoisty odcinek kultury o niesłychanym wpływie na cały szereg spraw ekonomicznej i gospodarczej natury, wreszcie przyczynę do historycznego ujęcia obyczajowości — objawiła się w całej pełni swego XX-wiecznego kunsztu.

Przerzućmy kartki wspaniałych wydawnictw zagranicznych: miesięczników, tygodników, poświęconych przede wszystkim modzie. O tych ostatnich chcę mówić: świetne fotosy pięknych kobiet, wspaniałe toalety, zachęcające legendy przeszłych cacek, nieraz arcydzieła pomysłowości: kostiumów, sukienek, negliży...

Cenne futra, olśniewająca biżuterja, wymyślne nazwy ostatnich kreacji balowych. Jakby na przekór wszystkim niepowodzeniom gospodarczym świata, wbrew nieprzyjaznej atmosferze społecznej, w okresie interesujących rozgrywek politycznych — nigdy, w żadnym roku przedtem, za najlepszych czasów, płodność godna podziwu w dziedzinie mody nie objawiła się z taką siłą...

Różnorodność w tkaninach, niezależnie czy są to wełny, jedwabie, aksamity, czy koronki, połyskujące lamy, lśniące brokaty, zwiewne, pajęczne koronki — jest tak wielka, że prosto zdumiewa i aż niepokoi przekroczeniem granicy ludzkich możliwości.

Fantastyczne ozdoby, na których wy-

konanie składają się zarówno zdobycze artystyczne, jak i techniczne, świadczą o kolosalnym zasięgu mody. Szkło, metal, drzewo, porcelana, ebonit, wysługa się modzie podobno najzupełniej właściwie i pożytecznie.

Obecnie twórcy i dyktatorzy mody, mając poza sobą 19 stuleci, rozporządzając już gotowymi pomysłami, przerabiają je po raz dwudziesty wedle wymagań i upodobań doby współczesnej.

Niekiedy w twórczym zapale cofają się daleko poza erę chrześcijańską, do Egiptu, czy starożytności Grecji, by zapożyczyć ze spłowiałego pergaminu treść do luksusowego artykułu mody. lub czerpać natchnienie z klasycznego piękna posągów do jakiejś olśniewają-

cej kreacji wieczornej dla niewielu kobiet, których powołaniem jest przyozdobić swe kształty jak najgodniej.

A zresztą kwestja ubrania pociąga wszystkich i wszystkie jednak; zawsze jednak w zależności od sytuacji materialnej.

Kapryśne milionerki, dobrze wychowane arystokratki, reprezentacyjne panie z dyplomacji, czcigodne panie z towarzystwa, kobiety, poświęcające się nauce, sztuce, i wszystkie te, których niesposób wyliczyć — znosiły i znoszą dyktaturę mody zgodnie, jednomyślnie i tylko z małymi zastrzeżeniami.

A te śmieszne istoty, któreby ośmieliły się nie iść szlakiem wiatronogiej władczyni — zostaną wykreślone z liczby kobiet współczesnych...

Nie masz modnej sukni, płaszcza, kapełuszka, nie masz piórka, klipsa, woalki — nie masz, nie masz, nie masz..., nie liczysz się, odbiegasz od życia...

Produkcja mody trzyma się na poziomie bardzo wysokim. Żywoćności jej dowodzą ostatnie wydawnictwa, ostatnie rewje — pokazy...

Na naszym gruncie coraz mocniejszymi akcentami podkreśla się potrzebę stworzenia własnego typu ubrania, które, aczkolwiek nie odbiegające w ogólnych zarysach od wzorów zagranicznych, powinno być charakterystyczne dla warunków, w jakich żyjemy. A materiał mamy olbrzymi; i wybitnych artystów i źródło natchnienia, niewyczerpaną skarbnicę motywów folklorystycznych i zdolnych fachowców. Nie mamy tylko niestety przekonania do wszystkiego, co nosi piętno: „made in Poland“.



CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamy 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe policzamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

ASY NUMERU 1-GO:

SYMBOLE Z ZA MORZA.

Wojny krzyżowe wprowadziły w kulturę europejską dużo nowych momentów, które zauważyć można również w sztuce i ówczesnej heraldyce. Str. 4—5.



KRZYZODZIÓBY I TOW.

Skrzydłata rodzina ptaków poza bogactwem upierzenia odznacza się wielką różnorodnością dziobów, będących zarówno bronią, jak też służących do odżywiania. Str. 6.



ELEKTRYCZNE OKO.

O różnych zastosowaniach praktycznych komórki foto-elektrycznej. Str. 12.



HONORÉ DAUMIER.

Wiedeńska wystawa karykatur wielkiego artysty francuskiego ubóstwiecia stanowi arcyciekawy obraz typów z przed 100 lat. Str. 14—15.



JAPONJA TANCZY SLOWFOXA...

Nowoczesne melodie i tańce w cieniu kwitnącej wiśni. Str. 16—17.



PRZEMYSŁ W RETORCIE.

Chemiczny Instytut Badawczy w Warszawie, istniejący już od 20 lat, jest niejako mózgiem polskiego przemysłu, przygotowującym dla niego nowe pola działania. Str. 18—19.



SWIAT NA CENZUROWANEM.

Przegląd wydań z ostatnich czasów w krzywym zwierciadle humoru i fantazji. Str. 20.



Przebój muzyczny „Asa”:

MARSZ NARCJARZY

z filmu „Wiosna narcziarzy”. — Muzyka i słowa Władysława Bułgajskiego. Str. 22.



Salon Piękności „Asa”.

GIMNASTYKA KOSMETYCZNA.

Nowa metoda J. Sobina z Los Angeles gwarantuje zachowanie piękna kształtów kobiecych. Str. 28—29.



Nowele. — Życie artystyczne. — Moda kobieca. — Dział gospodarstwa domowego. — Kącik filatelistyczny. — Humor i rozrywki. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radiowy.



Gdy w Anglii matrymonjalne projekty b. króla Edwarda VIII doprowadziły do rozdzwięku, powodując jego abdykację, Holandia przygotowuje się do wspaniałych uroczystości ślubnych z okazji zamążpójścia księżniczki Juljanny, biorąc żywy udział w tym radosnym zdarzeniu. Jak wiadomo cały naród ofiaruje swej przyszłej królowej wspaniały jacht, jak również cenny dywan utkany rękami wszystkich nieomal poddanych Jej Królewskiej Mości. Ostatnio na ratuszu w Hadze odbyła się zapowiedź ślubu cywilnego w obecności pary narzeczeńskiej oraz burmistrza, a następnie heroldowie w historycznych strojach ukazali się na ulicach stolicy, by ogłosić „wszem wobec” o zapowiedziach. Oto heroldowie w barwnych strojach z XVII wieku na tle jednego ze starodawnych kościołów Hagii. Fot. Keystone — Berlin

SYMBOLE ZZA MORZA



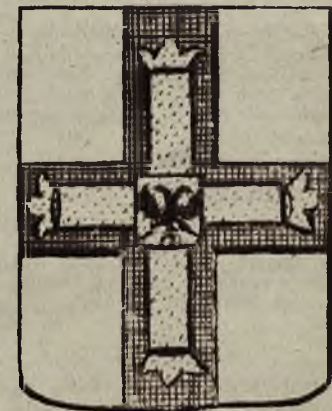
Tarcza herbowa wielkiego mistrza krzyżackiego Konrada hrabiego Turyngji, zm. w r. 1241

Wyprawy krzyżowe stanowią dla dzisiejszej ludzkości jeden z tych psychologicznych fenomenów, które usuwają się spod logicznej analizy. Chociaż znamy zasadniczo szczegóły tych wypraw, znany nazwiska ich wodzów, to jednak trudno nam wzuć się w nastrój, jaki wtedy panował, trudno zrozumieć zapał, jaki owionął wszystkie niemal ludy Europy. Bo zaiste czyż nie jest dziwnem, że państwa skłócone ze sobą godzą się, najwięksi wrogowie podają sobie rękę, monarchowie europejscy baczeni na własną korzyść zapominają o zyskach, by wspólnymi siłami odzyskać Ziemię Świętą? Był to chyba jedyny w swoim rodzaju wypadek, kiedy powstała konfederacja państw europejskich, dążąca do wspólnego celu.

Skutki wojen krzyżowych były olbrzymie. Nietylko poszerzyły one horyzont myślowy ówczesnych ludzi, nietylko skutki polityczne, — powstanie nowych państw chrześcijańskich na wschodzie, — były ogromne, ale, i to może najwięcej godne jest podkreślenia, kultura europejska nabrała nowych, egzotycznych, dotąd nieznanych soków, pochodzących z Małej Azji i Afryki. Wpływ wojen krzyżowych na mentalność ówczesną, na sztukę, literaturę, poglądy życiowe, dają się zauważyć w wielu wypadkach. I cóż w tem zresztą dziwnego? Czyż ludzie ówczesni, tak bardzo czuli na urok poezji, na wszystko co jest niesprawdzałne, wychodzące ponad rzeczywistość, nie musieli ulec urokowi dalekich krain, pełnych tajemnic, nowych obyczajów i tego całego świata muzułmańskiego, odznaczającego się bogactwem, licznymi przeciwieństwami i fanatyzmem?

Wzbogacenie „repertuaru“ myślowego Europy średniowiecznej dzięki wyprawom krzyżowym, zauważyć możemy choćby w jednej dziedzinie, wysoce dla ówczesnej mentalności charakterystycznej — heraldyce. Jeżeli zwłaszcza podczas wypraw krzyżowych powstała względnie rozwinęła się ta wiedza, to stało się tak ze względów praktycznych, jak też abstrakcyjnych. Praktycznych — gdyż wyruszające w daleką podróż oddziały wojskowe musiały mieć określone znaki bojowe, pod którymi wypadało im się zbierać, a więc dowódcy ich przyjmowali na swych tarczach odpowiednie herby, abstrakcyjnych — bo człowiek ówczesny chętnie wyobrażał sobie pewne pojęcia w sposób konkretny, nieraz naiwny, niemniej jednak ciekawy i piękny.

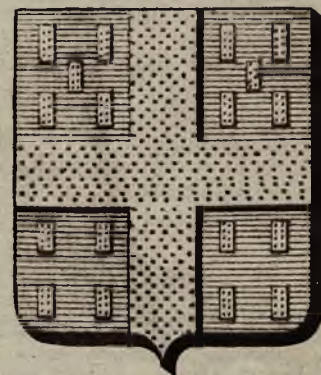
Średniowiecze pełne jest baśni, opowieści fantastycznych, legend, a ludzie ówczesni są zaboronni, łatwowierni, posiadający bogatą wyobraźnię dziecka, czują na bodźce zewnętrzne. Cały świat jest pełen baśni: w ciemnych lasach żyją wilkołaki, wysokie góry strzeżone są przez smoki, które zwyciężyć można po licznych próbach męstwa, w morzu mieszkają urocze syreny, kuszące swym śpiewem i czyhające na duszę marynarzy. Do tych wierzeń przyczyniają się jeszcze nieliczne wprawdzie dzieła pisarzy greckich i rzymskich, opowiadające o mitologicznych stworach, w których istnienie ludzie ówczesni bynajmniej nie wątpią. Niektóre rodziny, np książęta de Lusignan szczycą się nawet pochodzeniem od meluzyny, zjawiającej się co pewien czas na ziemi. Inny ród, książęta de Drago samem nazwiskiem, drago — smok, podkreśla swe pokrewieństwo, duchowe czy fizyczne, z tem zwierzęciem, które tylekrotnie występuje w ówczesnej literaturze, sztuce, heraldyce. Kyszarda, króla Anglii, przezywają „Lwim sercem“, bo też ówczesni wiedzą o lwie, jako o królu zwierząt dużo fantastycznych rzeczy, choć go nigdy nie widzieli na oczy. A oto tu, w swej dalekiej podróży do Ziemi Świętej, mają zobaczyć wszystkie te cuda i baśnie wschodu. Ale stkiem jeden ki, połączny, idą w bój — wi bogate po rycerzy i ich czasie wojen



Herb Zakonu Krzyżackiego: krzyż „berlowy“ z nałożoną tarczą z czarnym orlem, umieszczony na czarnym krzyżu w srebrnym polu.



Herb hr. Balny d'Avricourt z krzyżem św. Andrzeja i czterema merletkami.

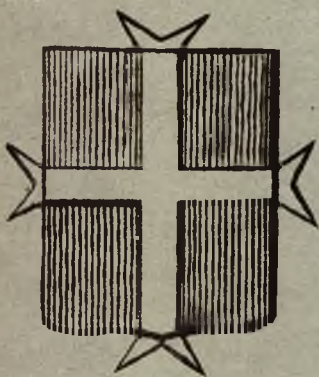


Herb ks. Choiseul.



Na lewo: Herb książąt Lotaryńskich, w którym widoczne są trzy merletki na pasie czerwonym, oraz w trzecim polu górnym pięć krzyży królestwa jerozolimskiego.

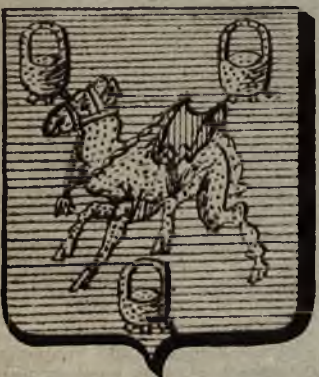
Oto jak umieszczano herby na zbroi rycerza i na jego wierzcholcu. Miniatura z roczników geneńskich z XII wieku.



Herb Zakonu Mallańskiego: srebrny krzyż, dotykający brzołów tarczy w czerwonym polu, tarcza oparta na krzyżu mallańskim.



Herb ks. de Broglie, posiada dosyć rzadki w heraldyce krzyż kotwicowy.



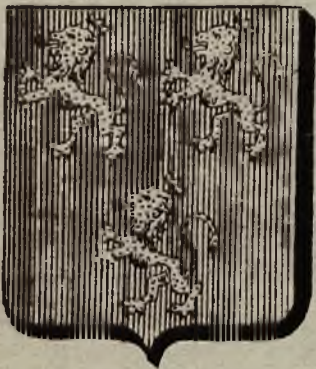
Herb hr. de Chameroi przedstawia złotego wielbłąda w niebieskim polu oraz trzy złote kociolki.



Herb Prus 1-szy obejmuje półtora krzyża.



Herb hr. Fabre de Coeuret: w złotym polu trzy (2, 1) głowy murzynów w prawo.



Herb ks. de Talleyrand-Périgord: w czerwonym polu trzy (2, 1) lwy złote na prawo.

Na prawo: Herb królestwa Sardynji z środkową tarczą, w której widoczne są cztery głowy murzynów, oraz tarczą herbową domu sabaudzkiego — srebrny krzyż w czerwonym polu.

powstaje olbrzymia ilość rodzajów krzyży, które znajdziemy obecnie na herbach dawnych rodzin. Widzimy więc krzyże zwykle, inne znnowu zwane „maltańskimi“, jeszcze inne z ramionami zakończonemi koniczyną, lilją i t. d. Są wkońcu takie, których brzegi są uzębione, o końcach zaopatrzonych w kule (krzyż tuluzański), krzyż patryarchalny, zwany również krzyżem lotaryńskim. o podwójnym przekreśleniu, krzyż św. Antoniego, czyli o trzech ramionach, krzyż św. Andrzeja i t. d. Z polskich herbów ciekawą postać krzyża spotykamy w herbach Pilawa, Gieraft, Puchala itd. Choć krzyż był najwybitniejszym przedmiotem herbowym owych czasów, to wiele innych jeszcze figur wzbogaciło herbownictwo, a przez to samo i wyobraźnię ludzi średniowiecza. Oto roślinność i fauna krajowa ustępuje nowej, egzotycznej. Do heraldyki wchodzą więc lwy, lamparty, tygrysy, zjawiają się też wielbłądy (herb polski Michorowskich i hiszpański ks. de Allamps), ale też postacie fantastyczne, jak meluzyny, jednorożce (licorne), do których przywiązane są liczne piękne legendy, centaury, hydry, feniksy, bazyliczki i t. d. Jednym z najciekawszych zwierząt „odkrytych“ przez rycerzy średniowiecznych jest ptaszek, pozbawiony nóg i końca dzioba: merletka. Jak podają nam kronikarze, merletka przybyła z Ziemi Świętej na tarczach wielu rycerzy. Historia jej powstania jest następująca: gdy dręczeni głodem rycerze zmuszeni byli polować na wszelką zwierzynę, zdarzało się, że zwykły ptak stawał się celem dla ich strzał. Nieraz więc spadał ptak z oberwaną nogą, a fantazja ówczesnych ludzi „przerobiła“ ten widziany tylokrotnie obraz, tworząc nowe zwierzę heraldyczne które przeszło następnie do wielu herbów rodzin europejskich. Spotykamy też inne ptaki niemniej dziwne, t.j. orły bez łapek, zwane „alérion“. Historia ich w herbie książąt lotaryńskich, również łączy się z wyprawami krzyżowemi. Gdy Gotfryd z Bouillon, książę lotaryński, oblegał Jerozolimę, któryś z rycerzy wskazując mu trzy ptaki, siedzące na wieży, wyraził się, iż miasta tak samo nie zdobędzie, jak nie będzie mógł przebić owych trzech ptaków strzałą. Gotfryd zażądał łuku i celnie wypuszczoną strzałą przeszył ptaki. Na pamiątkę tego zdarzenia trzy orleki figurują w herbie domu lotaryńskiego. Niemniej ciekawą jest historia korony cierniowej, jaką spotykamy w herbach dwunastu rodzin szwabskich, np. hrabiów von Thürheim, umieszczoną na hełmie. Jak wiadomo, pierwszy król Jerozolimy, Gotfryd z Bouillon, nie chciał przyjąć korony królewskiej, mówiąc, iż nie przystoi nosić jej w miejscu, w którym Zbawiciel uwieczony został koroną cierniową. W związku z wojnami krzyżowemi powstały też symbole inne, np. w herbach hiszpańskich, włoskich, francuskich i niemieckich spotkać można t. zw. „głowy murzynów“ lub królowe murzynskie, nieraz bez rąk. W polskiej heraldyce mamy tych głów murzyńskich niewiele, np. w herbie Mora, w herbie Wezele itd.

Kije pielgrzymie, muszle św. Jakóba i wiele innych godeł przynieśli na swych tarczach rycerze z wypraw krzyżowych. Powstanie tych herbów łączy się nieraz z ciekawymi wydarzeniami. Oto gdy w r. 1223 kardynał Jan został wysłany do Palestyny jako legat papieża, przywiózł stamtąd utamek kolumny, przy której Zbawiciel cierpiał chłostę. Od tej chwili przybrał nazwisko Colonna, a za herb kolumnę srebrną w niebieskim polu. Niemniej ciekawą jest historia łańcuchów, znajdujących się w herbie królestwa Nawarry, z którego pochodził król francuski Henryk IV. Złoty łańcuch znajduje się w tym herbie w polu czerwonym i ułożony jest w dwa rzędy, których środek tworzy krzyż. Według francuskiego heraldyka Ménestrier łańcuchy te przypominają zwycięstwo króla Nawarry, który zdobył obóz maurytańskiego władcy, Smaragdusa, mimo, iż obóz otoczony był silnemi łańcuchami. Jak widać z tej anegdoty historycznej, już wtedy myślano o zasiękach, tak dziś „popularnych“!

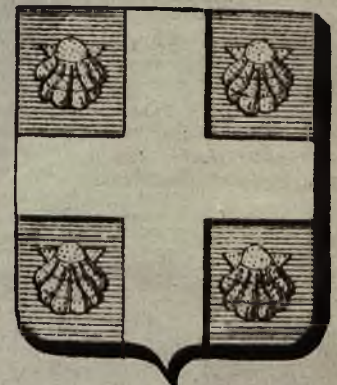
Choćby z tego pobieżnego przeglądu symboli i godeł średniowiecznych wynika, jak dużo nowych pojęć weszło do kultury europejskiej, przybierając postać obrazów. Dodac wypada, że nie tylko heraldyka, ale sztuka wogóle skorzystała w wysokim stopniu z wspaniałych tkanin przywiezionych przez rycerzy, i że one właśnie w wielu wypadkach stały się bodźcem do wytwarzania podobnie pięknych i wzorzystych w Europie. Chociaż więc ostateczny cel wypraw krzyżowych, — odzyskanie gro sa — nie zo ty, to jednak był dla ó w k u l t u r a l n a b. wielki.



Herb Świętocy przypomina krzyż św. Antoniego.



Herb hr. Creton de Limerville przedstawia w niebieskim polu krzyż o ząbkowanych brzegach.



Herb hr. Avrouin-Foulon: w niebieskim polu srebrny krzyż z czterema złotymi muszlami.

KRZYZODZIUBY I TOW.

Rzut oka na postać zwierzęcia i budowę poszczególnych części jego ciała pozwala nam zwykle zorientować się w sposobie jego życia. Gdy zobaczymy słonia i podziwiamy jego olbrzymie cielsko, nie wątpimy — i słusznie, że zwierzę to mimo powolnych ruchów obdarzone jest wielką siłą. — Lekkie i zwinne ruchy tygrysa czy panteiry, ich cichy chód, ostre pazury i zęby, polyskujące w rozwartej paszczy świadczą wymownie o drapieżnym ich życiu i krwiożerczości, długie nogi smukłej sarny czy antylopy wskazują na ich szybkość i wytrzymałość w biegu.

Uzębienie zwierząt ssących pozwala wnioskować o rodzaju pokarmu, jakim się odżywiają. Ostre, mocne zęby, zwłaszcza dobrze rozwinięte kły przemawiają za pokarmem mięsnym, szerokie zaś i płaskie, pofalowane korony wskazują na pokarm roślinny.

Podobnie jak u ssaków uzębienie może nas informować o rodzaju ich pożywienia, tak u ptaków świadczyć mogą o tem dzioby, chociaż niekiedy wymyślność w ich budowie nie tłumaczy się koniecznością przystosowania do zdobycia pokarmu.

Dzioby najszybszych ptaków krajowych są naogół prosto zbudowane, chociaż nie brak wśród nich bardzo różnorodnych. Jedne z nich krótkie, silne, stożkowate, jak n. p. u pospolitego wróbla, gila czy grabołoska służą doskonale do łuszczenia ziarn lub niekiedy nawet do rozbijania pestek, inne cienkie, długie jak u słowika, skowronka i licznych muchołówek wskazują, że pokarmem są drobne owady i ich gąsienice; podobnie owadami, a przede wszystkim drobnymi muszkami i komarami żywią się jaskółki i jerzyki, chwytając je w locie w słabe, szeroko rozwarte dzioby. Mocne, hakowato zakrzywione dzioby świadczą o drapieżności ptaka. Takie dzioby mają orły, sokoły, jastrzębie, sowy i wiele jeszcze innych. Mocnym, dłutowatym dzióbem „lekarz leśny“ — dzięcioł opukuje drzewa i wyciąga z pod kory owady, stanowiące dlań smaczny kąsek.

Są jednak i wśród naszej skrzydlatej rzeszy takie ptaki, których dzioby odznacza-

ją się rzadziej spotykanym kształtem. I tak krzyżodzioby zwane niekiedy papużkami naszych lasów, mają dzioby skrzyżowane, co ułatwia im wyluskiwanie nasion z szyszek. Podobnie, lecz znacznie silniej rozwinięte dzioby posiadają liczne gatunki egzotycznych papug, które nieraz hodowane są u nas dla pięknego upierzenia i zdolności naśladowania ludzkiego głosu.

Delikatne znowu i cienkie, niekiedy długie, lub też specjalnie zakrzywione dzioby posiadają małe amerykańskie kolibry. Te karzełki wśród ptaków, błyszczące wspaniałymi piórkami, niby motyle, unoszą się w powietrzu i zawisają nad kwiatami, zapuszczają swe dzióbki w ich korony dla wypicia nektaru. Niektóre gatunki kolibrów odwiedzają tylko pewne kwiaty, do których jedynie mogą dostać się ich dzióbki, odpowiednio zbudowane. Małe koliber (*Docimastes ensifer*) zarówno może zapuszczać swój dzióbek w głąb kwiatu i spijać jęczyzkiem nektar, jak łowić drobne, delikatne owady.

Flamingi, zwane też czerwonekami, znane dobrze zwłaszcza z Afryki, gdzie żyją w wielkich gromadach, chwytają w swe duże dzioby skorupiaki, ślimaki, robaki, nie gardząc też małymi rybkami i pokarmem roślinnym. Podobne pożywienie pobiera trzc nurogęs (*Mergus merganser*), jakkolwiek dziób ma nieco odmienny. Zalatuje on często w jesieni nad nasze wody i przeżywa zimę aż do wiosny. Górna szczeka zakrzywia się haczykowato, a brzeży dzioba posiadają rogo-



Amerykański kolibr „*Docimastes ensifer*”



Samiec gatunku „*Heteralocha acutirostris*”



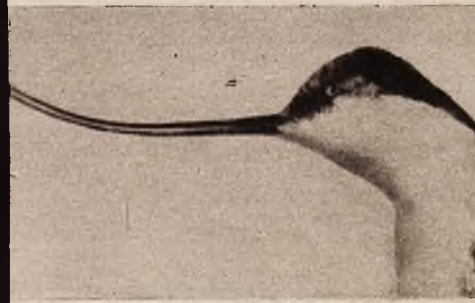
Trzc nurogęs „*Mergus merganser*”.



Samiczka gatunku „*Heteralocha acutirostris*”.



Maskonura „*Fratercula arctica*”



Szablodziób „*Recurvirostra avocetta*”.



Krzyworogi dzióborozec „*Buceros rhinoceros*”

Na lewo: Dzióborozek kabłąkowany „*Buceros convexus*”.



we zębki, które odgrywają rolę jakgdyby siła, zatrzymują one części stałe, a przesączają wodę. Długi, zlekką wygięty dziób cechuje szabłodzioba (*Recurvirostra avocetta*), który nazwę swą zawdzięcza właśnie kształtowi dzioba, przypominającego szabłę. Olbrzymie dzioby, nieprzeciętnego kształtu, ozdobione jakgdyby hełmami, posiadają dzióborożce, zamieszkujące strefę gorącą. Dziób mimo swego ogromu, w rzeczywistości jest lekki, bo wypełniony w znacznej mierze powietrzem. Jeden z gatunków (*Buceros convexus*)

dzióborożce kabłąkowały, odznacza się ciekawym zwyczajem. Gdy samiczka siedzi na jajkach, które ukrywa w dziupli drzew, samiec zamurowuje ją i tylko przez otwór, w którym mieści się jej głowa, dostarcza jej pokarmu.

Maskonur, zwany też mormonem (*Fratercula arctica*), mieszkaniec mórz północnych, ma dziób krótki, bokami ściętniony, pokryty błoną z przodu silnie pofałdowaną. Jako doskonały pływak i nurek znajduje w falach morskich pod dostatkiem żywności,

przedewszystkiem różnych ryb. Tego rodzaju pokarm doskonale łowią także ptaki o dziobach długich i prostych, jak nasze czaple, bociany i mewy.

Znane są także takie ptaki, u których inny dziób posiada samiec, a inny samiczka. Przykładem tej dwupostaciowości może być nowozelandzki ptak *Heteralocha acutirostris*.

Niekiedy zdarzają się ptaki z tak dziwaczniemi dziobami, że wytłumaczenie ich kształtów napotyka na trudności.

Dr. Z. M.



Nowy Rok w... U. S. A.

Już taki zwyczaj i moda jest taka, że w noc Sylwestra, gdy muzyka gra, na tacy wnoszą tłustego chłopaka w U. S. A.

U nas w Sylwestra jest całkiem inaczej, chociaż zabawy też skrywa nas mgła, lecz co innego wnosimy na tacy, niż w U. S. A.

Lecz w Świecie Nowym czy nad Starą Ziemią jedno pytanie przesywa nocny mrok: jakie zagadki w tej przyszłości drzemią? co da nam Nowy ten Rok?...

W.



NAJMILSZY PODAREK ŚWIĄTECZNY



KOLEKCJA PAPIEROSÓW
W PIĘKNEJ KASETCIE
100 SZTUK — ZŁ. 13.50.

Kącik filatelistyczny.

Pierwszy krok do wprowadzenia znaczka pocztowego ważnego dla wszystkich krajów należących do międzynarodowej konwencji pocztowej uczyniły kraje Małej Ententy. Nie wydano wprawdzie tam znaczków pełnowartościowych w tym znaczeniu, aby można było nimi opłacać przesyłki pocztowe w całym obrocie zagranicznym, ale narazie zaopatrzone kilka bieżących egzemplarzy przedrukiem: Czechosłowacja, Rumunja, Jugosławia. Narazie stało się to tylko w Rumunji, a w pozostałych państwach ukażą się te nowości wkrótce, później zaś wprowadzone zostaną definitywnie serie o identycznym rysunku, a tylko napisy będą nadal w różnych językach. Badź co badź jest to niezwykle wydarzenie w historii poczty, aby marki nosiły oznaczenie kilku państw!

Z najnowszych znaczków reprodukuje Belgję i Państwo Watykańskie. Następca tronu belgijskiego Baldwin widnieje na wszystkich ośmiu wartościach (10 + 5 c., 25 + 5 c., 35 + 5 c., 50 + 5 c., 70 + 5 c., 1 fr. + 25 c., 1.75 fr. + 25 c., i 2.45 fr. + 2.55 fr.). Kolory tej serii są bardzo żywe. Dopłaty do niższych wartości są rzeczywiście (i słusznie!) minimalne, bo 5 c., to niecałe 2 grosze. Nie powstrzymano się jednak od chęci zysku przy ostatniej sztuce, do której trzeba dopłacać 55 groszy.

Mniej ciekawą wiadomością dla polskiego zbieracza, niż relacja o serii watykańskiej z okazji wystawy, która się tam w ubiegłym miesiącu odbyła, będzie nowina o wydaniu nowych prowizorycznych znaczków dopłaty. Znaczki pocztowo jedno i dwuzłotowe zaopatrzone nadrukami 15, względnie 20 groszy, a wobec tego, że nakład musi być ograniczony, nie będą te znaczki należały do pospolitych. Wszystkie obecnie kursujące prowizoria, jak 50/3 zł., 10, 20 i 25 gr. na 1 zł., a przedewszystkiem 20 gr/5 zł. bardzo zwyżkują i są poszukiwane zagranicą.

Czytelnikom-zbieraczom zapewne wiadome jest, iż 10-groszówka z orłem (II wydanie) z przedrukiem Port Gdańsk została wycofana i niezmiernie trudno ją znaleźć, bo istnieje jej tylko 18.000 egz. W. H.

Nowości z dziedziny filatelistyki:

Znaczkę belgijską z podobizną następcy tronu Baldwina za 35 + 5c., oraz znaczek pocztowy watykańskiej z podobizną św. Franciszka Salezego.



ALEKSANDER
JUNOSZA
OLSZAKOWSKI

TAJEMNICA JOACHIMA LEVRANA

NOVELA

Niesamowite zdolności Joachima Levra-
na były przez długi szereg lat tematem
różnych teoryj naukowych oraz sensa-
cyjnych opowiadań. Zanim poznałem Levra-
na, słyszałem tu i ówdzie o jego czarodziej-
skich wyczynach, odnosząc się do nich z
pewną pobłażliwością a nawet sceptycyzmem.
Zazwyczaj bowiem głośni hipnotyzerzy po-
siadają większą sławę, aniżeli na to zasłu-
gują i częstokroć przeciętny śmiertelnik za-
luje, iż poznał się ze sławnym magiem, któ-
ry z bliska tracił wiele ze swej potęgi i ta-
jemniczości.

Jako jeden z urzędników Intelligence Ser-
vice po wykryciu afery politycznej mahara-
dży z Djapuru wziąłem urlop parotygodnio-
wy i wyjechałem do Europy. Wybór mój
padł na Semmering, uroczę miejsce wypo-
czynkowe pod Wiedniem. Tam zapoznałem
się z Levranem.

Siedzieliśmy w sześć osób przygodnie zna-
jomych w pewnym pensjonacie górskim.
Była właśnie pora drugiego śniadania. Przed
nami na stole oprócz pieczywa, kawy i owo-
ców stał ogromny wazon ponsowych róż.

Joachim Levran, wszedłszy na salę, skłonił
się uprzejmie wszystkim, poczem zasiadł
przy bocznym stoliku. Jeden z mych towa-
rzyszy, znający go od kilku dni, chcąc speł-
nić życzenie pań, podszedł ku niemu, aby za-
prosić go do naszego stolika. Levran z uśmie-
chem podniósł się z miejsca i skierował kro-
ki ku nam. Panie jęły zasypywać głośniego
maga pytaniami na temat jego produkcji.
Opowiadał chętnie cichym głosem i — trze-
ba przyznać — wcale dowcipnie oraz rzeczo-
wo. Odrazu wyjaśnił, że cała jego umiejęt-
ność polega na grze wyobraźni, która odgry-
wa olbrzymią rolę w życiu poszczególnych
jednostek.

Podczas rozmowy Levran żywo gestykulo-
wał. W pewnej chwili ręce jego musnęły wa-
zon z kwiatami, poczem wyjął jedną różę,
zbliżył do ust i... z okrzykiem przestrachu
odrzucił.

Wszystkich spojrzenia skierowały się na
wazon. Zamiast ponsowych róż syczało w na-
sza stronę kłębowisko jadowitych żmij. Śle-
pia ich migotały wściekłością, rozszczepione
języczki wysuwały się naprzód.

Jedna z pań zemdląła. Dwie pozostałe
z krzykiem uciekły od stołu. Przerażeni męż-
czyźni zerwali się na równe nogi. Znajdują-
cy się w naszym towarzystwie młodzieńki ka-
pitan armji austriackiej błyskawicznie wy-
ciągnął z kieszeni rewolwer i sześciokrotnie
wypalił do wazonu.

Huk wystrzałów zmieszał się z brzękiem
rozbitej porcelany, której skorupy rozsypały
się po stole.

Na Boga! Pocóż to wszystko?! — zawołał
z uśmiechem Joachim Levran — cóż zawi-
niły państwu piękne kwiaty?

Spojrzeliliśmy.

Wśród okruchów wazonu leżały przed na-
mi ponsowe róże.

Między gośćmi w pensjonacie znajdowała
się Edith Tennyson. Była to słodka dziew-
czę, do którego poczułem żywą sympatię. Do
przyjazdu Levrana szanse moje wzrastały
z dnia na dzień i — jak mi się zdawało —
niedaleką była chwila, w której mogłem się
oświadczyć. Głośny mag jednak oczarował
ją i odciągnął ode mnie. Był przystojnym
mężczyzną, niezwykle ugrzecznionym i osią-
gał z łatwością tę wyższość nad każdym, że
stawał się ośrodkiem uwagi całego towa-
rzystwa.

Chodząc często na spacer, wyczarowywał
wizje podzwrotnikowych krain, palmy, pira-
midy egipskie, oceany bezkresne i jakieś nie-
znane miasta, skąpane w promieniach słoń-
ca. Obrazy te trwały kilka sekund i zachwy-
cały wszystkich, a w szczególności Edith.

Byłem o to, przyznam się, zazdrosny.

Spokojne życie w pensjonacie zostało dwu-
krotnie zakłócone wiadomością o katastrofie
samochodowej. Pierwsza wydarzyła się we
środe o godzinie jedenastej rano. Ofiarami
padli wysocy dygnitarze austriaccy i szofer.
Wszyscy byli ciężko ranni. Śledztwo wyka-
zało, że katastrofa wydarzyła się na zakre-
cie szosy wiedeńskiej, znajdującym się w od-
ległości kilku kilometrów od wsi Borchten,
a więc w pobliżu naszego pensjonatu. Bada-
ny szofer zaklinał się, że musiał zahamować
gwałtownie pedałując z dużą szybkością wóz,
ponieważ ogromna brzoza, rosnąca przy za-
kręcie, nagle pochyliła się i upadła.

Druga katastrofa wydarzyła się w tydzień
później na tem samym miejscu. Tym razem
ofiara padł szef sztabu generalnego i adju-
tant kanclerza. Zeznanie szofera było iden-
tycznym z zeznaniem jego kolegi z pierwszej

katastrofy. A tymczasem brzoza rosła w spo-
sób najbardziej prawidłowy i — jak wyka-
zało śledztwo — tylko huragan olbrzymiej
siły mógł ją wyrwać z ziemi lub złamać.

Na temat tych wypadków rozmawialiśmy
wiele w pensjonacie i doszliśmy do wniosku,
że maszyny nie były w należyłym porządku,
szoferzy zaś, obawiając się odpowiedzialno-
ści, powtarzali jeden za drugim naiwne kłam-
stwa.

Tymczasem Joachim Levran na serio zajął
się Edith. Unikali wyraźnie mego towarzy-
stwa i chętnie przebywali we dwoje.

Sytuacja między nami była tak naprężo-
na, że przewidywałem awanturę. Mój system
nerwowy znajdował się w oplakany stan. Trzą-
sałem się, jak liść miotany burzą. Zamiast
wypoczynku przeżywałem na Semme-
ring dramat, tem głębszy i poważniejszy, że
brałem w nim udział całym sercem i duszą.
Nielatwo bowiem wyrzec się miłości, jeśli
się jest młodym!

Pewnego wieczora po spacerze w towa-
rzystwie Levrana i Edith wróciłem do swe-
go pokoju i znalazłem tam... swego szefa od-
działu zagranicznego Intelligence Service,
Tomsona. Siedział na mojem łóżku, paląc
krótką fajeczkę i przeglądając gazetę.

— Jak się masz, stary?! — zawołał przy-
jawnie, potrząsając moją prawicą.

Uśmiechnąłem się. Obecność jego dziwnie
kojąco działała mi na nerwy i kazała przy-
puszczać jakąś robotę, w spełnieniu której
mogłem odzyskać równowagę ducha.

Tymczasem Tomson zniżył głos do szeptu:

— Twoje sprawozdania, chłopcze, przy-
czyniły się do odnalezienia śladów pewnej
paskudnej sprawy, której kulisy były tak
ciemne, żeśmy absolutnie nie mogli zorjen-
tować się, o co chodzi!

— Moje sprawozdania? — zawołałem zdumio-
niony — ależ w nich nic niema. Poprostu
pisałem je dla utrzymania kontaktu ze
służbą i na twój wyraźny rozkaz.

— A sztuczki Joachima Levrana?

Byłem coraz więcej zdumiony.

— To one się wam tak spodobały? Czy są-
dzisz, że są podejrzone?

Tomson z uśmiechem potrząsnął głową
i odparł.

— Myślałem, że więcej orjentujesz się
w sytuacji! No, ale to nic nie szkodzi! Chę-
tnie ci wybaczam gaffę, która na dobre wy-
szła całej sprawie! Wiemy wszystko, a że
ty nie domyślasz się wielu rzeczy, to głup-
stwo! Zresztą jesteś zakochany!

Zacerwieniłem się i rzekłem stanowczym
głosem:

— To jest moja osobista sprawa! Ja...

Tomson machnął ręką.

— Daj spokój akademickiej dyspacie! Nie
po to się tu zjawiłem! Nie mam zamiaru
analizować twej miłości do miss Edith Ten-
nyson. Jest to pocziwa dziewczyna i jeśli
się z nią ożenisz, otrzymasz gratyfikację
dwumiesięczną na kosztą podróży poślub-
nej! Yes!

— Dziękuję ci serdecznie!
— Nie dziękuj! Twoja to zasługa, nie moja! Intelligence Service wynagradza chętnie swoich pożytecznych urzędników.

— Może wreszcie wyjaśnisz mi, czem przysłużyłem się w takim razie?

— Dziś na to niema czasu! Muszę odejść! Powiem ci tylko tyle, że przyjazd mój jest w ścisłym związku z dwiema ostatnimi katastrofami samochodowymi, ponieważ rząd austriacki zwrócił się do nas z prośbą o pomoc. Bądź jutro gotów o dziesiątej rano. Spotkamy się w wiosce Borchon. Naturalnie nikomu nie ani słowa! A teraz good bye!

Nazajutrz dałem znać służbie hotelowej, że jestem chory i nie przyjmuję nikogo, poczem cichaczem wyostałem się przez okno do ogrodu, skąd niezauważony udałem się w kierunku wioski. Była godzina dziewiąta i sądziłem, że zdążę na czas.

Istotnie punktualnie o dziesiątej znalazłem się na szosie wiedeńskiej, która rozdzielala Borchon na dwie części. Tomsona jednak nie było. Postanowiłem tedy udać się do sołtysa po informacje.

Wtem w oddali rozległ się potężny warokot auta, które zbliżało się do mnie z szaloną szybkością. Zanim zdołałem przejść na drugą stronę szosy auto było już przy mnie i ze zgrzytem hamulców stanęło. Z poza szosy uśmiechała się przyjaźnie twarz Tomsona.

— Siadaj chłopcze! Jedziemy w podróż dyplomatyczną! — zawołał otwierając drzwiczki!

Ze zdziwieniem zauważyłem państwowe chorągiewki austriackie na błotnikach limuzyny. Kiedy zaś sadowiłem się do auta, ujrzałem, że Tomson ma na sobie wspaniałą liberję szoferską i przywiązany jest pasami do fotela. Na tylnym siedzeniu siedział jakiś osobnik w cylindrze również przymocowany rzemieniami niezem manekin.

Tomson odwrócił się i podał mi cylinder. — Zdejmij czapkę i włóż to uroczyste „nazynie“ dyplomatyczne! — zawołał wesoło. A nie zapomnij przywiązać się pasami. Będziemy mieli prawdopodobnie katastrofę samochodową. Nasze auto jest do tego specjalnie przystosowane. Może stanąć dęba, przewrócić się kołami do góry i nic mu się nie stanie. No, a teraz jedziemy!

To mówiąc, nacisnął starter i ruszył z miejsca pełnym gazem.

— Tomson! — zawołałem — może mi powiesz nareszcie, co to wszystko znaczy!

W odpowiedzi rzucił mi przez ramię gazetę.

— Przeczytaj, to się dowiesz! — krzyknął.

Z powodu szalonego pędu mogłem przeczytać tylko nagłówek drukowany na pierwszej stronie ogromnymi literami.

„Dyplomatyczna podróż kanclerza i ministra spraw wewnętrznych“.

Wtedy zrozumiałem pułapkę nastawioną na nieznanych sprawców ostatnich katastrof.

— Umówmy się! Pan będzie kanclerzem czy ja? — zawołałem do swego sąsiada.

Roześmiał się ochoczo.

Po dziesięciu minutach jazdy Tomson zwolnił bieg, ponieważ zbliżyliśmy się do pechowego zakrętu szosy. Złowieszca brzoza stała, pochylając się silnie na wietrze. W pobliżu nie było nikogo. Wtem z poza drzewa wyszedł jakiś człowiek, przeszedł szerokość szosy i obejrzał się poza siebie. Kiedy auto nasze znajdowało się w niewielkiej odległości od zakrętu, człowiek ów podniósł obie ręce do góry i wyciągnął w kierunku brzozy. Na twarzy jego malował się przestraszony.

Poznałem Levrana.

Jechaliśmy z szybkością sześćdziesięciu na godzinę. Zakręt był właściwie łagodny. Wtem wszyscy trzej krzyknęliśmy ze zgrozy.

Oto olbrzymia brzoza wygięła się na wietrze i z trzaskiem pękających konarów runęła na środek szosy. Wrażenie było tak

potężne i prawdziwe, że Tomson uległ panice.

— Tym razem to naprawdę drzewo upadło! — zawołał puszczając w ruch hamulce.

Auto nasze zarzuciło, zakręciło się gwałtownie i wpadło w rów koziółkując bokiem.

Nam nie się nie stało. Pasy uratowały nas. W tej chwili Levrana puścił się pędem wielkim w stronę małego zagajnika rosnącego wzdłuż szosy.

— Musimy go schwytać! Za wszelką cenę! Aresztowanie na miejscu przestępstwa stanowi ważny dowód w sądzie! — krzyknął Tomson gorączkowo odpinając pasy i wyskakując z auta.

Poszliśmy za jego przykładem. Biegając, trąciłem w bok swego szefa.

— Spójrz poza siebie! Brzoza jak stała tak stoi! — zawołałem ze śmiechem.

Tomson obejrzał się i zaklął.

— Ten magik rozporządza wcale dużą siłą sugestji! — odparł — nie dziwię się wobec tego biednym szoferom, którzy głowy stracili!

Tymczasem wpadliśmy w zagajnik. Levrana poznał, że jest ścigany i rozpaczliwie rzucił się w gestwinę. Nagle zatrzymał się, obrócił się do nas przodem i szeroko rozłożył ręce. I oto cały zagajnik stanął w płomieniach. Krwawe języki ognia lizwały gałęzie drzew, ogromny, czarny dym unosił się ku niebu. Wrażenie prawdziwości obrazu było tak silne, że Tomson znów uległ sugestji, a z nim i my.

Zastoinwszy twarz rękoma, cofaliśmy się do szosy. Tomson kłął jak szewc.

— Podpalił zagajnik! A to bydlę!

Wtem urwał, mocno przetarł oczy i odwrócił się.

Zagajnik stał nienaruszony. Pożaru nie było.

Tomson z przekleństwem skoczył na-

przód. My za nim, śmiejąc się serdecznie. Oryginalny pościg jał nas bawić. Przypomnieliśmy sobie bajki, czytane w dzieciennych latach. Tam było to samo. Baba Jaga ściagała dwoje dzieci, które rzuciły otrzymane od dobrej wróżki grzebień i powstał las. Potem rozlały trochę wody ze dzbanuszka i powstała rzeka. I tak dalej, coś na wzór sztuczek Levrana. Tylko jego „cuda“ trwały krócej.

Z wytężeniem biegliśmy naprzód. Wielki mag oddalił się od nas spory kawał. Zagajnik był mały, toteż widzieliśmy z oddali jego głowę nakrytą białą czapką. Wtem znikł.

Dobrnęliśmy do tego miejsca i ujrzeni Levrana, leżącego na ziemi z grymasem bólu na twarzy. Oburącz trzymał się za nogę w kolanie. Na nasz widok wybuchł gwałtownie:

— Cóż to za napaść? Przez was wykręciłem sobie nogę! Chcecie pieniądze? Weźcie i idźcie precz!

Tomson ukłonił się z powagą i wyjął z kieszeni małe kajdanki.

— Pozwoli pan, mr. Levrana, że mu założymy bransoletki! Przypuszczam, że będą się nadawały — zakpił.

Mag zbladł straszliwie.

— Za co? Za co mnie aresztujecie?! — wyjąkał.

— Za spowodowanie dwóch katastrof samochodowych, których ofiarą padli najwybitniejsi dyplomaci Austrii! — odparł poważnie Tomson, poczem dodał — no, panie Levrana, niema potrzeby stawiać oporu! „Zaspal“ się pan i trzeba teraz odpokutować! W tej chwili dokonywa się rewizja pańskich kufków w hotelu, wiemy bowiem, iż brał pan pieniądze od pewnego mocarstwa i za to urządzał katastrofy!

— Nic nie znajdziecie! — wrzasnął mag.

— Tak pan sądzi? — zawołał przeciągle Tomson — a ja panu powiem, że kufry o podwójnych dnach nie są dziś nowością ani zagadką!

Levrana opuścił głowę na piersi i patrzył w milczeniu, jak Tomson zakuwał jego ręce.

— Ha, trudno! — rzekł wreszcie — poddaję się!

W dwa tygodnie po wyżej opisanych wypadkach sąd wojenny skazał Levrana na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wielki zbrodniarz okazał się wielkim artystą do końca życia i utwierdził wśród potomnych sławę największego hipnotyzera świata. Zaproponował pluton egzekucyjny, który stanął przed nim na miejscu kaźni gotów do strzału. Żołnierze ujrzeni przez moment, jak olbrzymi gmach więzienny wali się na ich głowy. Rzuciwszy karabiny rozbiegli się w panice, krzyząc przeraźliwie i wzywając ratunku. Dopiero oficer egzekucyjny z trudem opanowawszy własne nerwy celnym strzałem z rewolweru położył kres życiu niesamowitego zbrodniarza.

KONIEC.

KRÓLEWSKI GRÓD ŻÓŁKIEW

Zółkiew, to kresowy gród Rzeczypospolitej, to siedziba hetmańska Żółkiewskich, królewska — Sobieskich.

Każdy z nich dołożył wszelkich starań, aby Żółkiew na miano królewskiego grodu zasługiwała, aby była taką, jaką dziś jeszcze ją widzimy, mimo wieków, co nad nią przeszły.

Obrońne mury zamku wznosił hetman Stanisław Żółkiewski, zapewniając, na jego czworobocznym majdanie, schronienie dla zagrożonej ludności miasta, w czasie licznych napadów nieprzyjaciela. W zamku tego basztach wężił carów Szujskich i w kaplicy zamkowej do Matki Bożej „Obozowej” się modlił, aby mu „glorję” w walkach z wrogiem ojczyzny dała. Gdy na wojnę hetman Stanisław swe hufce prowadził, Regina z Herburtów, małżonka jego, szatę surową zakonną wkładała, w modlitwie i dobrych uczynkach nie ustając.

I kiedy hetman zginął od oręża tureckiego pod Cecorą w 1620 r., już tej szaty wdowiej nie zdjął. I taką ją widzimy w czerwonym marmur pomnika zakutą, obok córki jej Zofji Daniłowiczowej, babki po kądzieli króla Jana III Sobieskiego.

Król sobie Żółkiew upodobał, blasku jej przy dał przyczem ozdobił fasadę renesansową, wdzięczny Bogu za „glorję” wiedeńską. Zamkowe komnaty ozdobił, park-Zwierzyniec i pałacyk letni dla swej ukochanej Marysienki urządził.

Dziś jeszcze szumią w nim drzewa, ręką króla sadzone, szczególnie w alei lipowej na górę Haraj wiodącej. Podobno król, wspaniałym widokiem wokół się rozglądającym, olśniony: Ha! raj! — zakrzyknął.

Żółkiew należy do tych nielicznych dźsi miast, które zachowały swój dawny wygląd i charakter.

Spora część muru obronnego istnieje do dziś, a w nim dwie bramy barokowe: Zwierzyniecka i Glińska, przez którą wiedzie trakt gliński. Z murami łączy się bezpośrednio renesansowy zamek żółkiewski z czterema basztami narożnymi i bramą wjazdową.

Zmurszałe, smukłe kolumnienki wskazują, gdzie był dawny krużganek. Z niego przyglądał się dwór cały rycerskim harcom na dziedzińcu zamkowym. Na środku majdanu rośnie sędziwy modrzew. Może nie rośnie, a trwał Modrzew-samotnik! Stare dzieje wspomina, nagiem gałązkami szumiąc — świadek wielkiej przeszłości.

Łacińskie sentencje nad oknami, w ciosowym kamieniu kute, odczytuje i herbom „Lubiczom” i „Janinom” się przygląda, które tu wszędzie imię dawnych panów zamku uwieczniają. Reprezentacyjne komnaty dziś jeszcze w ruinie, lecz będą w najbliższej przyszłości odnowione, a plany rekonstrukcji odtwarza na podstawie starych szychów i dokumentów i dzięki swojej niechy-

wałej intuicji inż arch. Zoboz, wybitny znawca renesansu.

Front zamku zajmuje całą jedną stronę czworobocznego rynku. Rynek czcigodny z domami jednopiętrowymi, z charakterystycznymi podcieniami arkadowymi. Kryją one w sobie wiele śladów dawnej przeszłości: renesansowe rozety i odrzwia rzeźbione. Pod Nr. 12 „Lew złoty”, herb Wenecji, gdzie była ambasada wenecka.

Nad rzędem tych domów króluje, na wzgórzu, usypanem przez janczarów fara — renesansowa perła o przeczystej sylwecie i proporcji. Zbudowana w 1604 r. przez Stanisława Żółkiewskiego, a przez króla Jana III przebudowana i upiększona po powrocie z pod Wiednia w 1687 r. Pod stropem naw umieszczone ogromnych rozmiarów obrazy



Fara żółkiewska pochodzi z XVII wieku.

(pędzla Włocha Altamonte'go) przedstawiają bitwy pod Wiedniem i Parkanami. Przytuliła fara na wieczny spoczynek wszystkich Żółkiewskich, Daniłowiczów, Jakóba Sobieskiego (ojca) i królewiczów Sobieskich: Jakóba i Konstantego. Z prawej strony wiel-



Herb miasta Żółkwi.

kiego ołtarza postacie bohaterów Cecory w czerwony marmur pomnika zakute: Ojciec i syn Żółkiewscy, Stanisław i Jan. Nad nimi ich patronowie, a u stóp herby rodzinne: Lubicz, Korczak, Herburt i Półkozic i napis: „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor” („Niech mściciel z kości naszych powstanie”). Śmierć pradziada swego, Sobieski pod Wiedniem na Turkach pomścił temi słowy do zwycięstwa prowadzony.

Z tych czasów też trwa barokowa cerkiew i dzwonnica OO. Bazylianów oraz barokowy kościół i klasztor OO. Dominikanów (fund. przez Teofilę Sobieską, matkę Jana III). Zawierają one dużo cennych pomników.

W dzisiejszej dzielnicy handlowej wśród niepozornych, ale malowniczych zaułków żydowskiego ghetta, dominuje masyw synagogi z 1687 r. Przepiękny zabytek renesansu polskiego o charakterze obronnym, z wysoką atyką i przyporami.

Przy trakcie lwowskim dochowała się prześliczna drewniana modrzewiowa cerkiewka św. Trójcy z 1601 r.

Przy kościele farnym w mur obronny wrosła baszta-dzwonnica (renesans włoski). Jak kiedyś — nad miastem czuwa. Jej dzwony z roku 1690 kiedyś na „larum” dzwoniły, ludność miasta przed nieprzyjacielem ostrzegając.

Dziś jej zegar stary godziny wydzwania: do dawnych stuleci wciąż nowe lata doliczając.

Irena Nowakowska-Acedańska.



Wszystkie drzeworyty kompozycji Ireny Nowakowskiej - Acedańskiej.

Na prawo: Zamek w Żółkwi.

Elektryczne oko.

Elektryczne oko — t. zw. fotocela, wyrobu firmy „Telefunken”.

Tak popularnie nazywa się niewielkie urządzenie kształtu i wielkości żarówki, którą elektrotechnicy ochrzcili mianem komórki fotoelektrycznej (foto-komórki) względnie jak niektórzy mówią za Niemcami „Fotoceli”. Wszyscy znają zapewne żarówkę elektryczną i stosują ją w lampach mieszkaniowych, żeby było światło, gdy słońce zmęczona całodzienną pracą schowa się za horyzonty i ułoży się do snu. Działanie żarówki elektrycznej jest bardzo proste. Doprowadzamy do niej prąd elektryczny, a ona daje nam światło. Fotoelektryczna komórka to właściwie „odwrócona” żarówka elektryczna. Doprowadzamy do niej światło (przez naświetlenie), a ona da nam prąd elektryczny, podobnie jak automat z czekoladą, który obdarza nas czekoladą po wrzuceniu kilku groszy. Komórka fotoelektryczna wbudowana jest w gruszkę szklaną jak żarówka i ma podobnie jak żarówka końcówki prądowe, ale nie dla doprowadzenia prądu, lecz dla jego odprowadzenia. Komórka fotoelektryczna posiada po prostu tysiąckrotne zastosowanie. Przedewszystkiem jeżeli chodzi o telewizję, to tu „oko elektryczne” spełnia doniosłą rolę. Chodzi bowiem tutaj o to, żeby wrażenie świetlne zamienić na prąd elektryczny, który przesłany dalej przewodami, względnie drogą bezdrutową (na falach eteru) wywoła w punkcie odbioru znowu wrażenie świetlne. Początkowo komórka fotoelektryczna nie wychodzi poza mury laboratoriów, gdzie znajduje zastosowanie przy wszelkich pomiarach. Ale niebawem zastępuje fotokomórka człowieka przy pracy, wyręczając go bezbłędnie — przez niego samego niezauważona. Jedno z ciekawszych zastosowań wspomnianej komórki stanowi automatyczne sterowanie ruchomych schodów, instalowanych na dworcach oraz w wielkich domach towarowych na Zachodzie Europy. Urządzenie to pomyślane zostało w sposób następujący: przy wejściu na schody zain-

stalowano źródło światła oraz przekaźnik zawierający komórkę fotoelektryczną umieszczoną przy wejściu na ruchome schody na wprost źródła światła. Jak długo promień świetlny wysyłany przez źródło trafia na komórkę — tak długo schody są nieruchome, z chwilą jednakże, gdy wchodząca na schody osoba przerwie na chwilę ów promień świetlny — przekaźnik włącza natychmiast silnik napędowy, który uruchamia schody. Po przebyciu właściwej drogi, schody z powrotem zatrzymują się przez specjalny przekaźnik czasowy. Gdyby chodziło o uczynienie instalacji sterującej (wiązki światła wysyłanej przez wspomniane źródło) możliwie niewidocznej, wówczas zapomoć odpowiedniego filtru można stłumić cały obszar widoczny widma promieni wysyłanych przez źródło, przepuszczając na zewnątrz jedynie niewidoczne promienie pozazercwone. Równocześnie fotokomórka rejestruje liczbę osób wstępujących na schody ruchome — podobnie jak liczy ilość gotowych fabrykatów poruszających się po taśmie ruchomej w fabryce i jak liczy tysiące papierosów wypuszczonych przez maszynę. Szczególnie interesujący przykład zastosowania komórki fotoelektrycznej dla regulacji i bezpieczeństwa ruchu ulicznego, znajdujemy w Paryżu. Dla uniknięcia skrzyżowań z głównymi ulicami zbudowano prostopadłe do nich tunele, przez które kierowany jest ruch uliczny poprzeczny.

Najtrudniejszym problemem do rozwiązania było tu zagadnienie oświetlenia promiennymi. Oślepienie jaskrawym światłem dziennym kierowca nie może wjechać nagle w źle oświetlony tunel — musi on przy wjeździe do tunelu mieć światło odpowiadające oświetleniu zewnętrznemu. Tak samo, jak przy wyjeździe z ciemnego tunelu nie może być oślepienie nagle światłem dziennym. Do pomocy przy rozwiązaniu tego zagadnienia zaprzągnięto fotokomórkę. Zbudowana wewnątrz tunelu i wystawiona na działanie światła dziennego komórka fotoelektryczna przekazuje wszystkie wahania oświetlenia zewnętrznego urządzeniu, które zaopatruje wewnątrz tunelu w światło odpowiadające temu jakie znajduje się na zewnątrz. W tym samym tunelu inne fotokomórki mają dalsze zastosowanie. Oto tunel ma tylko cztery metry wysokości. Może się jednak zdarzyć, że kierowca źle oceni wysokość i będzie

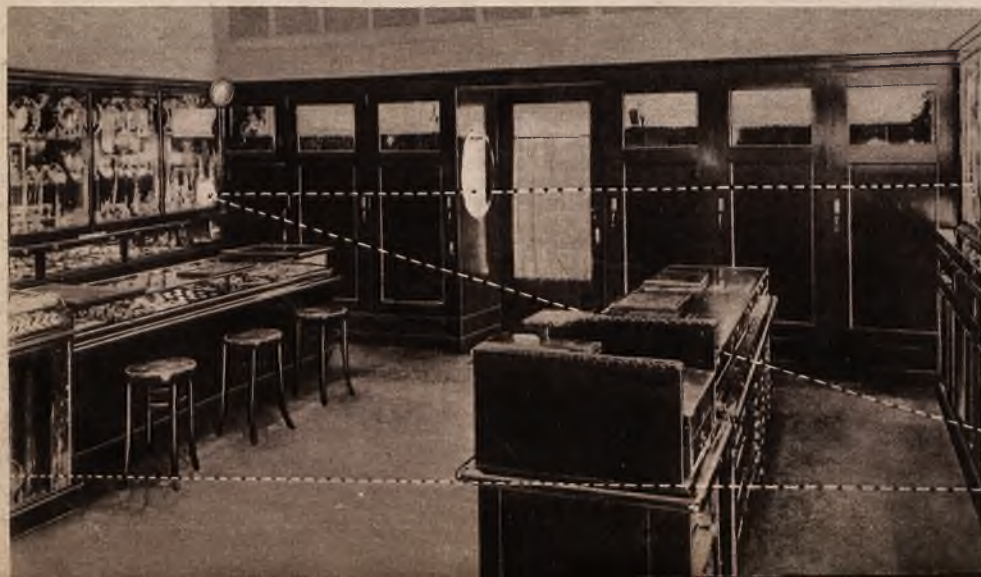


Ruchome schody na jednym z dworców w Berlinie, które zaczynają działać przy pomocy fotoceli, wbudowanej w poręcz (widoczne kółko z lewej strony).

chciał wjechać do tunelu z wozem przeladowanym powyżej wysokości 4 metr. Nic szczęście gotowe! — W dostatecznej odległości od wjazdu do tunelu zawieszono są na maszcie na wysokości 4 metrów komórki fotoelektryczne, oświetlone reflektorami umieszczonymi po przeciwnej stronie ulicy na wysokości również 4 metrów. Z chwilą, gdy wjeżdżający wóz naładowany bardzo wysoko przerwie wiązkę światła wysyłanego przez reflektory, w tym momencie fotokomórka uruchamia urządzenie głośnikowe. Z głośnika płyną silne słowa ostrzeżenia: „Uwaga! wóz za wysoki! przejazd niemożliwy!”. Oprócz tego równocześnie jaśnieje nad wjazdem napis świetlny z identycznym ostrzeżeniem. Wielu z pośród czytelników obserwowało w restauracji specjalną sztukę z jaką kelnerzy otwierają sobie drzwi kuchenne. Drzwi otrzymują kopnięcie, na wskutek którego otwierają się błyskawicznie kelner „przepluwa”, względnie „przełatuje” tak, jak tylko może najszybciej przez nie, byle nie być trafionym przez drzwi szybko zamykające się. I tu pomaga nam fotokomórka. Wbudowana w ścianę przed drzwiami, otwiera je spokojnie, gdy tylko kelner się do nich zbliży. Mówiliśmy dotąd o wiązce świetlnej podającej na komórkę. Zwyczajne światło nie jest do tego celu konieczne, nawet czasem niewygodne, gdyż musi być silniejsze, niż światło dzienne. Wówczas używamy infra-czerwonych promieni niewidocznych dla oka ludzkiego, a o działaniu takim samym, jak promienie widzialne. Stosujemy je zwłaszcza w urządzeniach alarmowych, zabezpieczających przed włamaniem. Przerwanie niewidzialnej wiązki infra-czerwonych promieni padających na fotokomórkę wprawia w ruch urządzenie alarmowe. Wymienienie wszystkich zastosowań „elektrycznego oka” zajęłoby nam zbyt wiele czasu. Wspomnę jeszcze, że żaden robotnik nie potrafi tak sortować papierosów i cygar, jak to robi za niego „oko elektryczne”. Wszelkie odcienia od najjaśniejszych aż do ciemnych sortuje i układa w pudełkach napisami zawsze do góry. Dalsze zastosowanie komórki znajduje w sporcie — używa się jej do dokładnego mierzenia czasów biegaczy. Można by jeszcze wymienić cały szereg małych i większych zastosowań tego cudownego „oka elektrycznego”, trzeba jednak skończyć, zostawiając również trochę miejsca fantazji czytelników.

S. K. W.

Poniżej: Aparatura alarmowa w sklepie jubilerskim, w której zastosowano niewidzialne promienie pozafioletkowe, przepływające przez pokój od ściany z fotocelą do drugiej ściany z lusterkami. Wejście człowieka powoduje przerwanie promieni, na co reaguje fotocela, uruchamiając dzwonek alarmowy.



URODA ŻYCIA

BARBARA PEPPER GWIAZDA „RKO”





Na lewo:
„Ciała ustawodawcze”. Karykatura polityczna Daumiera.

HONORÉ DAUMIER

Często słyzy się u nas zdanie, że karykatura jest sztuką niepoważną, niejako drugorzędną. Nie błędniejszego, niż takie mniemanie! Zapomina się przecież, że — z jednej strony — w dziełach najwybitniejszych artystów można niejednokrotnie wykazać wszystkie elementy, charakterystyczne dla karykatury, z drugiej strony, mistrzowie karykatury olśniewają nas wartościami plastycznymi, zawartymi w samym dziele. — Dzięki właśnie geniuszowi rysunku, staje się u nich karykatura prawdziwą, rzetelną i wielką sztuką, — nawskróś ludzką.

Łatwo się o tem przekonać, zwiedzając wystawę Daumiera w wiedeńskiej „Albertinie”. Wystawa ta, to obecnie największa atrakcja Wiednia. Uczyniono wszystko, by zebrać możliwie jak największy materiał. To też jest to najwszechstronniejsza najkompletniejsza wystawa, jakie można było dotychczas oglądać. Nawet Francja, ojczyzna tego „Michała Anioła” karykatury”, jak nazwał Daumiera Balzac, nie dała nam dotychczas jeszcze w takim komplecie prac genialnego tego artysty.

Jak w olbrzymią panoramę, wkraczamy w świat jego karykatur. Wszystko co ludzkie, jest tu przedstawione w sposób genialny. Dzieło Daumiera, mówiące nam więcej o Francji XIX wieku, niż uczone fojały, można porównać tylko z dziełem Balzaca. Tu, jak i tam spotykamy ten gigantyczny rozmach, tę zdumiewającą swą głębią i przenikliwością realistyczną wizję, ten śmiech i szyderstwo przesiąknięte skrytem drżeniem nad tragizmem życia.

Honoré Daumier nie był tem dla współczesnych jemu, czem jest dziś dla nas. „Odkrył” go dopiero nasza epoka. Za jego życia odnoszono się z lekceważeniem, nawet wzgardą, do Daumiera-malarza. Owszem, jako karykaturzysta, jako znany dowcipniś tygodnika „Caricature” był sensacją i ulubioną atrakcją paryskich salonów i paryskiej ulicy. Bo Paryż zawsze lubiał śmiech i weselość, umiał ocenić dowcip i humor, nawet najzjadłwszy. Lecz jakże miałyby on być równocześnie także „prawdziwym” malarzem, przedstawicielem t. zw. „wielkiej sztuki”? Nie, z tem nie chciano się pogodzić. Na rok przed swą śmiercią urządził 68-letni Daumier wystawę zbiorową swych prac malarskich. — t. zn. jego przyjaciele i mecenasi, jak Corot i in., namawiali łak długo jakiegos handlarza obrazów, aż ten wreszcie pozwolił starszemu na rozwieszenie swych obrazów w jego salonie. Rezultat: zupełne fiasko! Gdy w roku 1900 przygotowywano w Paryżu wystawę światową, musiano także, chcąc nie chcąc, porozwieszać



„Sprawa kryminalna”. Obrońca: „Pan prokurator mówi nam rzeczy bardzo nieprzyjemne, postaraj się płakać, to zawsze robi wrażenie!”

kilka Daumierów. I wtedy to zwróciło na niego uwagę paru znawców, umiających patrzeć. „Odkryto” go! Dziś jest wielkością bezsporną, zarówno jako karykaturzysta, jak i jako malarz. Gdy w r. 1860 Daumier, zarzucając litografię, znalazł się odrazu w skrajnej nędzy, sprzedawał swe akwarelki po — 50 franków za sztukę. Dziś płaci się w Ameryce po 30, 40, nawet 50 tysięcy dolarów za Daumiera, a we Francji i w Niemczech do niedawno jeszcze fałszowało się go na taką samą skalę, jak np. 35 lat temu fabrykowano fałszywych Corotów, co w naszych czasach jest najlepszą może miarą ogólnego uznania.

Daumier urodził się w r. 1810 w Marsylii, jako syn szklarza. Ojciec jego, — gdy skończył wprawianie szyb, pisał wiersze i musiał być przekonany o ich wartości, jeśli przesiedla się do Paryża, spodziewając się tu większego uznania jako poeta. Dyletantyzm artystyczny był cechą charakterystyczną XIX w. To dorywcze dosiadanie uskrzydłonego pogaza poezji przez Daumiera seniora nie pociągnęło zresztą za sobą najmniejszego choćby zrozumienia dla artystycznych skłonności i upodobań jego syna. Rysowanie i malowanie, którym młody Daumier oddawał się z taką pasją, było w oczach ojca tylko stratą czasu, zabawką dzieciinną. Najpierw — według niego, — należało

się wyuczyć jakiegos praktycznego zawodu! A więc młody Daumier jest początkowo chłopcem do posyłek u adwokata, potem praktykantem księgarskim, wreszcie uczy się litografji w jakiejś drukarni.

Litografja, wynaleziona w r. 1796, była wtedy właśnie nową, doskonale się zapowiadającą techniką ilustracyjną, która młodemu człowiekowi o znacznych zdolnościach rysunkowych mogła dać niemałe korzyści. Znaczenie swe zawdzięcza ona przede wszystkim prasie codziennej, która znalazła w niej łatwy sposób oddziaływania na czytelnika nie tylko drukowanym słowem, lecz również za pomocą ilustracji, przede wszystkim zaś ilustracji tendencyjnej: karykatury. Drzeworyt, przedtem stosowany, był dla coraz bardziej rozwijającej się prasy codziennej zbyt powolnym i uciążliwym. Żanim w czasach politycznego podniecenia, jak przed i po rewolucji lipcowej we Francji — sporządzono drzeworyt, opinja pu-

„Ratapoił”, rzeźba Daumiera





„Adwokat”.

wzrostach osobników, jak i środowisk, w którym żyją. Na większości jego litografij doskonale można rozpoznać, jak szkicujący Daumier najpierw rysuje węglem, potem szkic ten lekko ściera, by w ową pozostałą srebrną szarość węgla i kamienia wrysować piórem kontury. Na późniejszych pracach uderza nas pozorna gmatwanina i poplątana obfitość kresek. Lecz widać, że artysta, pewny swych umiejętności, pozostawił tylko ślady dróg, któremi szedł, że pozwala niejako widzowi przyglądać się swojemu szukaniu i zastanawianiu, — by wreszcie znaleźć najodpowiedniejszą formę, wolną od wszelkiego ornamentu, efektu dekoracyjnego i konwenansu, wyrażającą najintensywniej daną rzecz. Wszędzie u niego triumfuje ta rzadka umiejętność wypowiedzenia skromnymi środkami ważkich i doniosłych spraw. Daumier potrafi się wyrazić całkowicie środkami plastycznymi i nie musi się uciekać do dowiepnych podpisów. I jeszcze jedno, co cechuje jego tylko i wyróżnia:

stu lat ludzę się, że każda moja karykatura jest już ostatnią! — Wreszcie w roku 1860 mógł on urzeczywistnić swoje marzenie. — Rzuca swą dotychczasową pracę dziennikarską i zamierza odtąd być tylko malarzem. Rzeczywistość jednakże była inną, niż ta, o której marzył. O Daumierze-malarzu nikt nie chce słyszeć, nikt nie bierze go poważnie. Popada w skrajną nędzę. Wreszcie jest zmuszonym powrócić znów do swej pracy w redakcjach. Umiera w r. 1879. Pogrzeb jego odbywa się na koszt kasy ubogich miasta Paryża. Nędza socjalna ludzi wykorzystanych, wydziedziczonych, uciskanych i opuszczonych, dla których całe życie walczył jako rzecznik sprawiedliwości i wolności stała się także własną jego nędzą.

To, co dzieło Daumiera czyni tak interesującym nawet dla laika, któremu są obce kanony plastyczne, to jego socjalne nastawienie. Możliwe, że jego „wzniosła karykatura” wywodzi się z wyniosłych groteskowych rzeźb na średniowiecznych katedrach

bliczna była już zajęta innymi problemami i aferami. Wynalazek litografji zjawił się więc w samą porę. Rysowało się wprost na kamieniu kredą i tuszem, trawienie kamienia nie zabierało wiele czasu — i odrazu wędrował on do drukarni.

Gdy w roku 1830 Karol Philipon, dowcipny szermierz słowa, wróg Ludwika Filipa i królestwa, założył swój satyryczny tygodnik „Caricature”, zazangażował jako stałego współpracownika 20-letniego Daumiera, zarabiającego wtedy na chleb codzienny rysowaniem tytułów nut. Odrazu stał się sensacją, największą atrakcją nowego pisma. Z temperamentem, godnym prawdziwego południowca, rzucił się w wir walki z zakłamaniami i frazeologją ówczesnego reżimu. Na każdy nowy numer „Caricature” czekano z niecierpliwością, litografie Daumiera obiegały cały Paryż, były hasłem walki i kpiny na najbliższy tydzień. A Daumier był niezawodnym! Z głowy nienawidzonego Ludwika Filipa zrobił znak, jakby symbol: gruszkę. Le roi-poire, „król gruszka”, oto nowe hasło, które działało jak uderzenie, które stało się tak popularnym, że nawet potomność zna Ludwika Filipa tylko jako „króla-gruszkę”. Nie dziwnego, że wmisczała się w to cenzura. W r. 1832 sąd skazał Daumiera na 6 miesięcy więzienia. Nie wiele to pomogło. Wreszcie zlikwidowano „Caricature” zupełnie, na mocy nowego prawa prasowego.

Philipon zakłada nowe pismo, dziennik zwany „Charivari”. Lecz zaostrzona cenzura zmuszała już do ostrożności. Zaniechano dawny ostry kurs. Zamiast polityki, ograniczono się do karykatury obyczajowej. Powstaje więc owa gigantyczna daumierowska encyklopedia życia mieszczańskiego Francji XIX w., jako malarski odpowiednik balzackowskiej Comédie humaine. Znanych jest dziś około 20.000 litografij Daumiera, jako owoc 30-letniej pracy. Oznacza to dziennie 1—2 prace. Wiemy, że nieraz pracował równocześnie nad 8-ma kamieniami. Zgoła niewiarogodna wydajność i szybkość pracy! A jednak nie powtarza się nigdy, za każdym razem jego charakterystyka jest równie trafna. Lecz także wartości artystyczne jego litografij nie ucierpiały przy tak gorączkowym pośpiechu, — co może jest najdziwniejszym i najlepiej świadczy o jego genialności.

Daumier odrazu stworzył sobie w litografji swój własny styl, odpowiadający materiałowi, którym musiał się posługiwać. Jak nikt inny opanował on zamszową czerń i matową błądź kredy i tuszu litograficznego, całą możliwą skalę odcieni, umiejętność śmiałego i pewnego rozmieszczenia plam. Czar kontrastu — plamy białej i czarnej, kilku linii i kresek, pozwala nam poznać zarówno istotę wewnętrzną przedsta-



„Posiłek ubogich ludzi”.

doskonała znajomość anatomji, mechanizmu ruchu ludzkiego, godna samego Michała Anioła czy Davida. Zawsze potrafi on swe szyderstwo, lub swój wyrozumiały uśmiech przybrać w genialną formę plastyczną.

Lecz Daumier-karykaturzysta, to tylko jedna część tej przedziwnej i wyjątkowej osobistości. Tęsknotą jego i pragnieniem była przez całe życie wielka sztuka malarska. — Jak nisko oceniał swoją pracę jako karykaturzysty, która wślawiła go wśród publiczności, o tem świadczy następująca anegdota: Pewien malarz, rozmawiając z nim o karykaturach, zwierzył mu się, jak bardzo pragnąłby sam zostać karykaturzystą. Na to odpowiedział mu Daumier: „A ja od trzydzie-



„Uwolnienie”. Sędzia: — Tęgo można uwolnić, nie jest już szkodliwy!



„Oświadczyń”.

francuskich. — jak chcą znawcy. Dla laika jednakże wzniosłość ta ma inne źródło: bolesny tragizm życia, bliski i znany każdemu, kto nietylko zechce patrzeć, lecz także od czasu do czasu zastanowić się, kto nie odgania od siebie chwil smutnej zadumy. Tragizm ten, to nietylko tragizm jednostki, lecz także mas. Bo Daumier jest wzniosłym zarówno wtedy, gdy szkicuje małą, zalęknioną dziewczynkę, stojącą przed trybunałem — więźnia, który umarł i w ten sposób uzyskał wolność, lub praczkę, uginającą się pod tobołem brudnej bielizny, z dzieckiem, uczeponem u jej spódnicy — jak i tam, gdzie przedstawia nam tłum podróżnych „w wagonie 3 klasy”, przymusowe skupisko ludzi najbiedniejszych, brudnych, cuchnących i

Dokończenie na str. 24-ej.



Na sali dancinowej w Tokio widuje się już przeważnie stroje europejskie...

7 # POZIOMA # WICZ # SLOW FOXA

Bibi. Jaga



Japońska „taxi-girl”, ubrana w kimono, tańczy slowfoxa napewno nie gorzej od swej koleżanki z Broadwayu...

Na prawo: Widok na salę dancinową jednego z największych lokali rozrywkowych w Tokio.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis! — zmieniają się czasy, z biegiem których i my się zmieniamy — oto przysłowie sprzed setek lat, tak często powtarzane dziś, w okresie powojennym przez nas — Europejczyków. A przecież właśnie my, w porównaniu np. do takich Japończyków, łatwiej zawsze znośliśmy i będziemy znosić inwazję wszelakich nowości, które kielkując po drugiej stronie Wielkiej Wody, przybývają potem do starej Europy, by tu burzyć najbardziej uświęcone tradycją zwyczaje. To „buzenie” jednak odbywa się zwykle bez rewolucyjnych wstrząsów; towarzyszy mu tylko mniej lub więcej namiętna dyskusja prasowa, która szybko milknąc, sankcjonuje wytworzona sytuację, a życie przechodzi nad tem do porządku dziennego.

Inaczej rzecz miała się w Japonji... Tam o wszystkim decydowała tradycja, która do niedawna zakazywała np. przebywać dzieciom do lat siedmiu w mieszanym towarzystwie. Ona to również trzymała „Kraj kwitnącej wiśni” zdala od zgubnego — jak mówiono w Japonji — wpływu tańców amerykańskich i nakazywała kultywowanie tańców narodowych, które jeszcze do niedawna wypełniały cały repertuar choreograficzny Japończyków.

Cywilizacja europejska, która w miłowych butach przemierza państwo Mikada, musiała i w dziedzinie tańca uczynić pewien wylom. Przez tę, że tak powiem furtkę przedostały się do Japonji slowfoxy, rumby i bostony, początkowo tańczone tylko na przyjęciach w ambasadach, potem coraz częściej w domach bardziej postępowych rodzin japońskich — a dziś już w najnowocześniejszych urządzonych dancinгах Tokio, Jokohamy, czy Nagasaki.

Obserwując życie Japończyków i ich zwyczaje, bardzo głęboko zakorzenione, uświadomiamy sobie dopiero tę prawdziwą rewolucję pojęć, jaką sprowadzić musiało uznanie tańców amerykańskich przez ludność wysp Nipponu. Stary Japończyk, tańczący z zapalem slowfoxa z gejszą, która zmieniła się na wzór dziewcząt z Broadwayu w typową „taxi-girl” — to obraz wręcz nie do pomyślenia jeszcze przed kilku laty.

A dziś? Każde większe miasto Nipponu poszczycić się może swoim „Palais de danse”, urządzonym z niebywałym luksusem, w którym specjalnie wyszkolone tancerki uczą za stosunkowo niską opłatą wszystkich nowoczesnych tańców. Frekwencja jest olbrzymia, bo każdy dziś Japończyk uważa za punkt honoru zdobyć umiejętność tańczenia rumby czy slowfoxa, bez których nie może sobie więcej wyobrazić miłego spędzenia wieczoru.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis!

J. L.

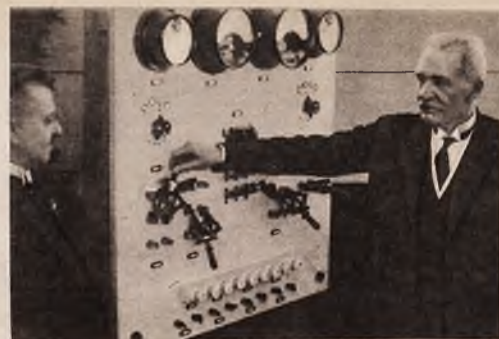
★
WSZYSTKIE
ZDJĘCIA:
JAPAN PRESS
ILLUSTRATION
SERVICE —
TOKIO



Na lewo: Oto jak wygląda nowoczesny „Palais de danse” w Tokio.

D Samochód nasz mknie przez Warszawę. Mijamy Śródmieście, okolice Dworca Gdańskiego i wreszcie Żoliborz. Zdała od innych zabudowań, wśród szeroko otwartej przestrzeni wznosi się biały nowoczesny gmach. To główny pawilon

przez naukowe i techniczne opracowanie wszelkich aktualnych zagadnień z dziedziny przeróbki, uszlachetnienia i wykorzystania krajowych surowców, przez opracowywanie zagadnień samowystarczalności przemysłowej Polski i przystosowania krajowych surowców do potrzeb obrony kraju. Instytut służy przedewszystkiem przemysłowi polskiemu. Dopomagając w zdobywaniu coraz



Prezydent R. P. Ignacy Mościcki uruchamia w dniu otwarcia Instytutu aparaturę służącą do elektrolizy aluminium.

RZEMYSŁ • W • RETORCIE

Chemicznego Instytutu Badawczego. Czem jest Chemiczny Instytut Badawczy? Dlaczego prace tej poważnej placówki naukowej leżały dotychczas — trzeba to przyznać ze skruchą — poza sferą naszych codziennych zainteresowań? Trzeba było dopiero specjalnej okazji, uroczystego obchodu 20-lecia założenia Instytutu. Jaki odbył się dnia 9 bm. w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, aby ku Instytutowi, jego pracom i wynikom badań, skierowała się uwaga całego kraju.

Chemja... badania... doświadczenia! Oto słowa, które laikowi przypominają zawiłą i jakże czasami nudną naukę chemii z czasów szkolnych, której jedynym wynikiem było zapamiętanie... składu chemicznego „aqua destilata“! Cóż dopiero mówić o chemii na poziomie dociekań naukowych, prowadzonych przez ludzi nauki! I oto odrazu mamy możliwość sprostowania błędnych — zapewne — przypuszczeń co do prac prowadzonych w Chemicznym Instytucie Badawczym, a równocześnie określenia celów tej placówki. Zadaniem Instytutu, choć jest on instytucją naukową, nie jest służenie nauce — w jej abstrakcyjnym znaczeniu. Głównym, naczelnym celem Instytutu jest praca naukowo-twórcza nad budową przemysłu chemicznego w Polsce;

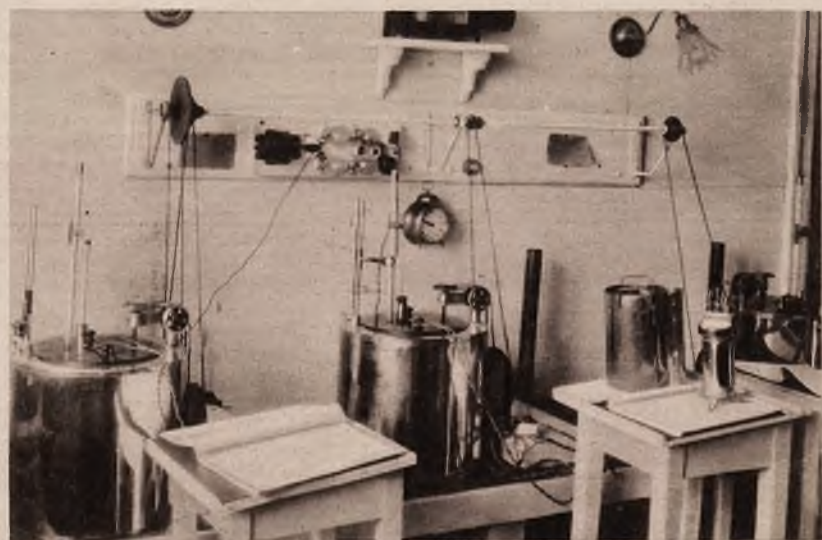
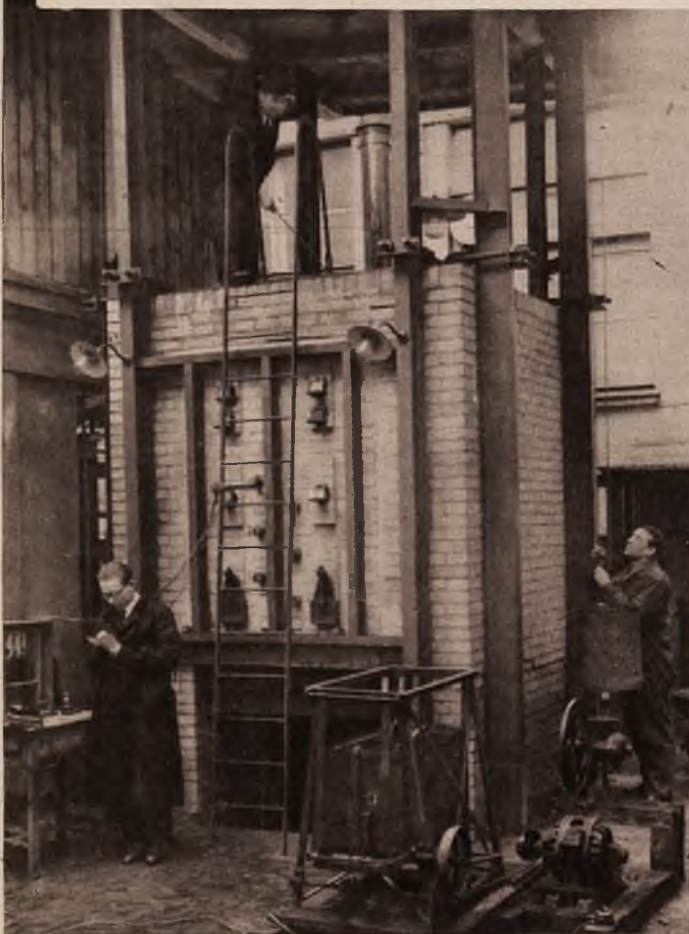
to nowszych i ulepszonych metod fabrykacji, buduje tem samem podwaliny do przyszłej potęgi przemysłowej naszej Ojczyzny. Wszelkie prace Instytutu nastawione są jaknajbardziej „życiowo“. Doświadczenia i badania idą nie w tym kierunku, by osiągnąć jakiś ciekawy z punktu widzenia naukowego wynik, lecz aby otrzymać rezultat możliwy do zastosowania w życiu, w przemyśle, w masowej fabrykacji, z zachowaniem wszelkich zasad rentowności kupieckiej. Instytut Chemiczny — to zatem jakby mózg polskiego przemysłu.

Wszystkie wielkie narody, które doceniły już znaczenie chemii i badań naukowych dla rozwoju potężnego przemysłu, stworzyły podobne do naszego instytutu naukowe. — A więc słynny Instytut Mellona w Pittsburgu, liczne Instytuty „Kaiser Wilhelm Gesellschaft“ w Niemczech, czy „Institute of Physical and Chemical Research“ w Tokio. Z laboratorjów tych instytucji i innych im pokrewnych coraz to wychodzą w szeroki świat owiane mgłą tajemnicy wiadomości o nowych rewelacyjnych odkryciach, o nowych metodach, które gotują rewolucję w organizacji światowego handlu i przemysłu. Wymieńmy choćby zagadnienie fascynujące dziś cały świat — fabrykacja syntetycznego kauczuku, fabrykacja benzyny z węgla czy wydobywanie aluminium z pozornie bezwar-

tościowych glin. Kauczuk, ten konieczny składnik gumy, jest dziś produktem cenionym na wagę złota. Opony samochodowe, uszczelniacze w maskach i schronach przeciwigazowych — to przykłady fabrykantów, przy których guma jest nieodzownym składnikiem. Dzięki wyteżonej pracy naszego Instytutu Chemicznego, instytucji rozporządzającej rocznym budżetem półtora miliona złotych, w której pracuje stale kilku profeso-



Biblioteka w Chemicznym Instytucie Badawczym.



Oto jeden z pokoiw laboratoryjnych w dziale analitycznym.

Na lewo: Piec w wielkiej hali Chemicznego Instytutu Badawczego, używany do niektórych doświadczeń w skali t. zw. „półfabrycznej“. Obok pieca widoczny inż. Kazimierz Hołowicki, oraz laboranci Wiktor Siedlecki i Jan Chodkiewicz.

rów uniwersytetu i kilkudziesięciu inżynierów-chemików, w wynalazkach z dziedziny wyżej poruszonych nie dajemy się wyprzedzać innym narodom.

Dzięki uprzejmości dyrekcji Instytutu mamy możliwość przyjrzeć się bliżej pracom i zwiedzić dokładnie gmach. Znajdujemy się w obszernej sali bibliotecznej.

— Oto jest początek każdego zagadnienia — słyszymy fachowe wyjaśnienia. — Czy samo życie przynosi to zagadnienie, czy też wpływa do nas odnośne zapytanie ze strony polskiego przemysłu, czy ze sfer rządowych, zawsze praca nasza zaczyna się tutaj, w tej sali bibliotecznej. Trzeba doskonale zaznajomić się z literaturą. Bibliotekę

mamy bardzo obszerną, zawierającą niejednego „białego kruka”. Mamy dzieła pisane we wszystkich językach świata cywilizowanego, nawet dzieła japońskie, pisane japońskim alfabetem.

Zwiedzamy następnie kolejno laboratoria działów: węglowego, metalurgicznego, wielkiego przemysłu nieorganicznego, kauczukowego i innych.

— Po opracowaniu czysto naukowym, teoretycznym — słyszymy dalsze wyjaśnienia naszych uprzejmych przewodników — sprawa przechodzi do właściwego laboratorjum. Dla przykładu chodzi np. o wydobycie koks z węgla, który według dotychczasowego stanu wiedzy i techniki do tego celu się nie nadawał. Jak wiadomo koks wydobywano tylko ze specjalnych gatunków węgla t. zw. „koksującego”. Polski węgiel niestety nie był tym „koksującym” węglem i dlatego koks musieliśmy sprowadzać z zagranicy. Gdy zagadnienie to, czy temu podobne, znajdzie się w laboratorjum, czyni się tu odpowiednie doświadczenia w skali laboratoryjnej, to znaczy z niewielką ilością węgla. Kilka lub kilkanaście gramów! Odrzuca jednak nastawienie tych doświadczeń jest „praktyczne” — to jest takie, by dało się potem powtórzyć z większą ilością materiału.

Z laboratorjów, pełnych naukowych przyrządów, próbek, tablic rozdzielczych i maszyn przechodzimy do wielkiej hali fabrycznej Instytutu. Hala ma imponujące rozmiary — 15×80 metrów.

— Gdy doświadczenie w skali laboratoryjnej dało dodatnie rezultaty, czyni się próbę w skali półfabrycznej. Tu bierze się do doświadczenia już kilkanaście kilogramów danego produktu. Wreszcie, gdy nasze maszyny i urządzenia na to pozwalają, powtarza się badania w skali pełnej, fabrycznej, niekiedy zaś przeprowadzenie tej ostatecznej próby powierzamy polskiemu zakładowi przemysłowemu i fabrykom. Z chwilą, gdy próby w skali fabrycznej potwierdza



Inż. Jerzy Pfanhauser, szef laboratorjum i inż. Zdzisław Zaleski, zast. kier. działu nieorganicznego dokonywują doświadczeń.



W kole: Dyrektor Instytutu Badawczego prof. dr. Kazimierz Kling.

wyniki badań teoretycznych i laboratoryjnych, rola Instytutu jest skończona, a opracowany przez nas nowy system fabrykacji może być zastosowany w praktyce.

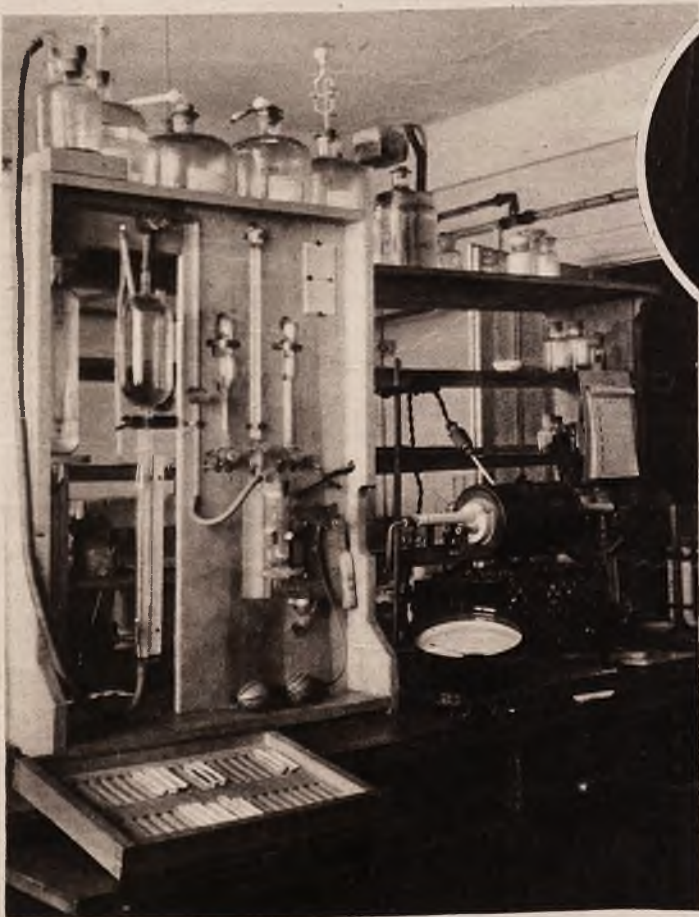
— Jakże z dotychczasowych prac Instytutu — zapytuje — zasługują na specjalne podkreślenie?

— W czasach, gdy Instytut dopiero był założony, przed dwudziestu laty, we Lwowie przez ówczesnego profesora Politechniki Lwowskiej, obecnego Prezydenta Państwa, Ignacego Mościckiego (Instytut nosił wówczas charakter Spółki pod nazwą „Metan”), pracował przedewszystkiem w kierunku

badań nad ulepszeniem destylacji ropy naftowej. Szereg wynalazków pana profesora Mościckiego, opracowanych w „Metanie” znalazło zastosowanie nie tylko u nas w kraju, ale i zagranicą. Obecnie największą naszą troską są zagadnienia z dziedziny węgla. Kierownikiem tego działu jest prof. dr. W. Świętosławski. Opracowaliśmy już konkretnie sposób fabrykacji koks z naszego polskiego „niekoksującego” węgla. Sposób ten jest stosowany w wielu polskich zakładach przemysłowych. Poważnym zagadnieniem z tego działu, przy którym też osiągnęliśmy dodatnie wyniki jest użytkowanie miazgi węglowej, którego posiadamy bardzo dużo. Chodzi tu o preparowanie z miazgi brykietek węglowych, bez używania jakichkolwiek materiałów „zlepiających” miazg. Bardzo poważne wyniki posiadamy w dziedzinie galwanotechnicznej, w produkcji aluminium z polskich glin, a dalej produkcji elektrod węglowych z krajowych surowców. — Pracujemy też nad kwestją lepszego wykorzystania naszych torfów. W dziale kauczuku syntetycznego doszliśmy już do stadium półfabrycznego, co nam pozwala na otrzymywanie większych ilości kauczuku syntetycznego, t. zw. keru, który z powodzeniem zastępuje kauczuk. Opony samochodowe z keru wytrzymały bez zarzutu próby.

Nie sposób zdać sprawozdania w krótkim raporcie z wszystkich dziedzin i prac Instytutu. Ale i to, co powiedzieliśmy, przekonana nas, jak ważną ze wszech miar placówką jest nasz Instytut Badań Chemicznych, który, pracując pod wysokim protektoratem swego założyciela, Pana Prezydenta Mościckiego, wykuwa w swych pracowniach wielką przyszłość naszego przemysłu.

Roman Burzyński.



W dziale analitycznym znajduje się m. in. aparat Holthaus-Senthe służący do oznaczania zawartości węgla i siarki w metalach i stopach.



Świat na cenzurowanem

Zdziwi się zapewne Czytelnik, względnie piękna Czytelniczka (wszystkie Czytelniczki „Asa“ są piękne), gdy przeczyta ten osobliwy nieco tytuł. Świat na cenzurowanem? A dlaczegożby nie? Dziś, w epoce niecodziennych zdarzeń w codziennym życiu ludzkości taka zabawa jest bardzo na czasie — oczywiście w granicach przyzwoitości i pewnej, rozumiejącej się samo przez się, dyskrekcji. Niestety — często, jak w owej znanej zabawie towarzyskiej, przesadzimy na pegazie fantazji szranki dobrego tonu i „cenzura“ nasza staje się zbyt surową. Popelniamy cały szereg niedyskrecji w stosunku do głów koronowanych naprzykład — wzięwszy choćby ostatni konflikt dynastyczny w pewnym znanym i renomowanym imperjum. Niezego nie można ustrzec przed okiem ludzkim, zwłaszcza — jeśli oko to należy do premiera, będącego zarazem podsłuchowcem uchwały parlamentu w demokratycznym państwie. Taki wszędzie wejdzie, wszystko zobaczy, ogładnie sobie dokładnie od dołu do góry, by potem „dół“ mogły zrobić „górze“... wielki k r a m. W ten sposób demos kradnie biednemu władcy chwile spokoju i wytchnienia — o mało co nie doprowadziwszy człowieka do wydania ostatniego tchnienia. Jest-że to sprawiedliwe? W istocie, nie można absolutnie powiedzieć, żeby ojczyzna pana Windsora była dla niego... Edenem.

Tak sobie myślę — coby zrobił p. Baldwin, będąc na miejscu dzisiejszego... zesańca korony? Obawiam się, że miałby ciężki orzech do zgrzyzenia — chyba, że zamiast serca ma rzeczywiście... orzech. A może p. Baldwin pozostałby bez win i dał zdrowy przykład angielskiego common sense'u? W każdym razie nie byłby to sens anielski.

Ze świat nasz jest dalekim od jakiegoś względnego bodaj „sensu anielskiego“ — widać to na pierwszy rzut oka w dzisiejszą rzeczywistość. Oto niedawno ruszył się leniwie ze swego odwiecznego legowiska złoty smok chiński i parsknął czerwona śliną w uśmiechniętą twarz Japończyka, który już od dłuższego czasu mikadził temu potworowi, sądząc — że w ten sposób uspi jego czujność i zdoła wkrótce wejść mu niespostrzeżenie w brzuszec łasiemcem swej gospodarczej ekspansji. Już był bliski nawet swego celu, już tajemniczo a przyjaźnie uśmiechniętą główką zdołał wsunąć się do gardła smoka — gdy ten nagle zamknął paszeczki i wypłacił japońską przyjaźń Czang-Kai-czekiem niewdzięczności. Czerwone ślepie Kantonu wlepił w Nankin i postanowił za wszelką cenę wyszukać Mandziurę na całym, byleby tylko wyzwolić się z pod supremacji Nipponu. Pomaga mu przy tym wydatnie doradca angielski australijskiego pochodzenia, podchodząc zrećnie do sprawy wyprawienia idei imperjalistycznych Japonii na tamten świat. Narazie Chiny podzieliły się na dwa obozy, z których czerwony Kanton robi kanty złotemu, narodowemu Nankinowi — ten zaś znów iście kinowo przeprowadza akcję oczyszczania Państwa Środka z czerwonej zarazy. Jesteśmy świadkami ciekawego widowiska na teatrum świa-

ta, w którym Sowiety grają niepoślednią rolę — zwłaszcza na Dalekim Wschodzie i w Hiszpanji. W Azji chodzi im o przewagę na terenie Bogu ducha winnych Mon-golasów — w Hiszpanji o czerwone Hiszpaństwo. Narazie zdołały usadowić się dość mocno w Katalonji, czyniąc z niej prawdziwą kolonię k a t a. We Francji zasadziły również na niwie Frontu Ludowego swój kwiatek w osobie premiera Bluma, dążąc całą siłą pary komunistyczno-socjalistycznej do ugruntuowania swej przewagi. W Lidze Narodów robią też ruch niebывały, stając zwartym wałem przeciw bawigęcom się w iluzje pokoju państwom Europy. Podobno Liga Narodów będzie całkowicie przenicowaną, chodzi tylko o wyszukanie odpowiednich krawców do okrojania jej z resztek... autorytetu i wpływów na bieg rzeczy na świecie. Widząc to Ameryka — uderzyła z wielkim rykiem w surmy pokoju i postanowiła stworzyć własną Ligę Narodów Amerykańskich, wychodząc ze słusznego założenia, że jeśli kiedykolwiek ma prowadzić wojnę — zawsze lepiej robić to w ramach własnej... Ligi niż w ramach europejskiej. Oto idealny wzór samowystarczalności do... b o j a przed międzynarodowymi konfliktami.

Jak doniosły ostatnie depesze — ma być niezadługo odbudowany w Europie front

Stresy, mający spełniać zadanie straży policyjnej na naszym kontynencie. Depesze te speszyły nieco akcję Kominternu w Europie, która zapomocą różnych panów Thorezów torowała sobie niezgorzej drogę w krajny Zachodu. Zapowiedzi o froncie Stresy wywołały pewne zaniepokojenie w Rzeszy Niemieckiej, która patrzy zezem na zbliżenie angielsko-włoskie, zawieszające na włosku przyjaźń hitleryzmu z faszyzmem. — Wprawdzie hitleryzm — to taka faszystowska fasz-schizma, ale zawsze bliższa bronzowa koszula... czarnej, niż angielskiego kaszkietu

Ostatnio wybuchły we Francji nowe rozruchy strajkowe, świadczące nie tyle o raju, zapowiadany szumnie przez Front Ludowy, ile o rozstroju nowego ustroju. Premier Blum kręci się jak mucha w ukropie, grożąc nie na żarty bezwzględny k r o p i e n i e m burzycieli porządku ludowego. Front Ludowy chwycił się u swych podstaw, jak wstawiony człowiek — a soc-jojalna dotychczas partja p k. de la Rocque'a zamierza nie na żarty wyjść z impaska, nałożonego jej na ręce przez le-witowskie elementy w rządzie. Jak będzie wyglądała przyszłość tego potężnego mocarstwa — niewiadomo. Oby tylko nie stało się czasem carstwem trzeciej międzynarodówki. Gdyby to nastąpiło — Niemcy ruszyłyby na całej linii do ataku w imię obrony cywilizacji i wysunęłyby nowe pretensje, zwłaszcza natury kolonialnej, w myśl znanego przysłowia: „pociesz się bratku, z cudzego... spadku“. Już dzisiaj robią niezwykle wyszukane S e h a c h t e l - m a c h t e l w przedmiocie zwrotu „zagrabionych“ wedle wyszukanej sztuki okradniczej kolonij, mając wodę pomysłów pacyfistycznych ideami swej pangermańskiej polityki. Taka polityka z nasadzonym na niej bagnetem może się stać niebezpieczną dla świata i wyświecić wkońcu inne narody z ich odwiecznych legowisk.

Widzimy z tego, co powiedziałem wyżej, że koniec roku przyniósł nam nowe wrzenia z areny międzynarodowej polityki, na której po lotnym piasku dobrych chęci uwiązają się tabuny niedopasionych zapaśników, usiłujących swe wilcze apetyty zaspokoić... wywoływany powszechnie niepokojem. Jednak jakoś udało się nam, w dzisiejszych ciężkich czasach zmutnego wiązania końca z końcem, szczęśliwie powiązania końca tego roku z początkiem następnego, który rokuje nam lepszą przyszłość w dziedzinie międzynarodowej polityki. I tak n. p. w Hiszpanji ustała już całkowicie bratobójcza walka. — Półwysep Iberyjski zamienił się na olbrzymią jakby arenę, na której rdzenni Hiszpanie przypatrują się z niezwykłym zajęciem, jak się biją i n n i. To jest wielki symbol całej Europy. Wszyscy Europejczycy są dziś widzami ścierających się na ich przastarym terenie obcych im duchowo prądów, wiejących z nad bezbrzeżnych stepów Eurazji. Dostłownie czekamy ustawicznie na coś lepszego — bo chyba... nie gorszego spotkać nas już nie może. Oby tylko z tego c z e k a n i a nie wynikała jakaś... Czeka. Tem życzeniem kończę mój noworoczny feljton polityczny.

Adam Cyprian.

Zbyttnia tusza jest poważną przeszkodą w życiu.

Otyłość jest objawem chorobliwym a przyczyn jej należy szukać w wadach przemiany materji lub też w zaburzeniach czynności gruczołów do krewnych. Nie zapominajmy, że otyłość osłabia serce. Serca otyłych, obłożone grubą warstwą tłuszczu, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się szybko i wcześniej odmawiają posłuszeństwa. Przy otyłości i złej przemianie materji stosuje się Ziola magistra Wolskiego ze znakiem ochronnym „DEGROSA“, gdyż zawierają one jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie Yahanga. Pobudza on organizm do spalania nadmiernego tłuszczu, działając dodatnio na funkcje gruczołu tarczycowego. Stosowanie ziół „Degrosa“ nie wymaga specjalnej diety. Jako środki pochodzenia naturalnego, działają Ziola magistra Wolskiego łagodnie, nie mają przykrego smaku i są łatwe do przyrządzenia.



Wytwórnia: **MAGISTER WOLSKI** WARSZAWA/ŻELAZNA 14

Uhej! z wiatrem w zawody...
Scena zjazdu z filmu „Biały szal“.



MARSZ NARCIARZY

Z FILMU "WIOSKA NARCIARZY"

Słowa i muzyka:
WŁADYSŁAW BUGAYSKI

Tempo di marcia.

Śnieg, śnieg, śnieg po górach leży, mart białe ślady wokoło.

na ha-li guar me-so - ło, chłoc w górach dnie, i mrozem tronie,

dalej do mart, bo dla nas narciarzy to żart!..... Nar-cia-rzu mo-one ki-je w dłoń, i

hen ku bia-łym wierzchom gór, uszak sił i krze-py do - syc maos,..... w prze-

czy-śią o - śnie - żo - ną dal na swo-ich lot-nych deskach wal, bo prze-cie: to jest ży - wic!

masz,..... w do-li-nę ostrym szu-sem gnoj przez ten zi - mo-wy bia-ły naj, choc

bie-li cud-nej jest ci ział..... nar-cia-rzu mocne ki-je w dłoń i

hen ku bia-łym wierzchom gór i ga-zu, ga-zu, ga - zu daj!.....

NOTATNIK PROF. CHOISET

JERZY TOTOŚ
NOWELA

Każde miasto ma swoje osobliwości i godne widzenia zakątki. Jedne z nich odwiedzane są tłumnie, inne pomijane z lekceważącym niekiedy ruchem ramion, wyrażającym pogardliwie coś w rodzaju: „...i to ma należeć do osobliwości?..”. Ale bywa tak dlatego, że wygodny turysta najczęściej opiera się na skąpych uwagach popularnych broszur. Własna jednak ciekawość jest najlepszym przewodnikiem i daje przeważnie lepsze rezultaty niż książkowa wskazówka.

Ja specjalnym zainteresowaniem darzę gwarne, pełne dymu i alkoholowych oparów knajpy portowe. Człowiek, łowiący osobliwości, dziennikarz, goniący za sensacją, literat, szukający tematów dla swych prac — znaleźć tu mogą niewyczerpane i interesujące pole.

Znając już marsylskie tawerny, obfitujące w różnego rodzaju emocje — nie mogłem odmówić sobie przyjemności odwiedzenia gdyńskiej knajpy marynarskiej. — Wprawdzie żaden rozważny człowiek nie ryzykuje lekkomyślnie tego rodzaju eskapad... no, ale ciekawości nie da się łatwo poskromić.

— Wyszedłem przecież cało z marsylskiej opresji... — pocieszałem się — wspominając starcie z grupą pijanych greckich marynarzy, — kierując kroki w mało odwiedzaną o tej porze ulicę

Mgła wsiąkała w mrok, zasnuwając powoli pole widzenia. Żółte światła latarni tkwiły już w kolistych woalach mglistych zawioli. Od portu dolatywały monotonne przeciągłe ryki syren holowanych statków.

Wkrótce pchnąłem drzwi knajpy i przystanąłem u progu. W twarz uderzyła mnie ciężka duszna atmosfera, tamując oddech. W zadymionej sali majaczyły postacie marynarzy. Charczącej gramofony drżał w gorącym rytmie argentyńskiej melodji. To duet Aubert i Visconti wśród tego rozgwaru zawodził tęsknie piosenkę kabaretową: „Devülveme mis besos...“.

— Hallo monsieur!...

Ktoś niespodziewanie odmówił moje nazwisko. Obejrzałem się zdziwiony i zaskoczony... Jakiś rosyły mężczyzna, siedzący samotnie w roku sali kiwał ku mnie przyjaźnie ręką.

Zdziwiłem się niezmiernie. Był to kapitan Zdarski. Poznałem go przypadkiem podczas wędrowki po Marsylii. Pełnił on wówczas służbę na australijskiej linii jakiegoś francuskiego handlowego towarzystwa okrętowego.

— Doprawdy, co za niespodzianka, kapitanie! — zawołałem radośnie, zbliżając się do stolika. — Pan tutaj?...

— Nasze towarzystwo handlowe otworzyło nową linię do Gdyni! Naturalnie wszelkimi siłami starałem się zdobyć przydział na ten kurs. Po tylu latach wędrowki po obcych morzach mogę nareszcie zawijać do polskiego portu...

Kapitan zamówił trunki i zaczęliśmy snuć rozmowę.

Wspomnieliśmy wspólne wycieczki po zaułkach Marsylii, które Zdarski znał jak rodowity jej mieszkaniec.

— Mam dla pana ciekawą historję!... — przypomniał sobie po chwili z triumfującym uśmiechem. — To temat dla pańskiej pracy... — Zapewne nie uwierzyłyby pan w autentyczność opowiadania, gdyby nie to!...

Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni mały, przyniszczony notatnik. Złamana tektura okładki i wypłowiła jej barwa świadczyły o różnych kolejach tego notesu. Zdarski ostrożnie położył go przed sobą.

— Ciekawa historia?... — ożywiłem się.

— Tak! — uśmiechnął się. — Tem ciekawsza, że ja właściwie nie będę dużo mówił, ale pewne, niecodzienne zdarzenie opowie panu ten notes sam...

Zaciekawiony czekałem w milczeniu.

— Pan rozumie!... — zaczął po chwili kapitan. — W swojej morskiej włóczędce nie zajmowałem się nigdy naukowymi kwestjami... Marynarz nie ma czasu na zagłębianie się w naukowych tematach... Prócz morza mało zajmuje się życiem i zagadnieniami ludzi lądu... Jednak zdarzenia, które chce panu opisać, wiele mnie zainteresowało i zaskoczyło... Sądzę, że i pan, mając styczność z naukowymi problemami, będzie wyrażony ze swych zapatrywań. Godzi bowiem ono w niewzruszalne pewniki, które postawili nam uczeni... — Moje opowiadanie jest krótkie i proste... — o! zwykłe objaśnienie dla tych notatek!...

Przerwał na chwilę, zapalając fajkę.

— Blisko pół roku temu, — ciągnął wnel dalej — do dyrekcji naszego towarzystwa przyszedł starszy, siwy pan. Długie włosy binokle na szpiczastym nosie, zmięte i źle skrojone ubranie, wiszące na chudej jego postaci — oto obrazek, każący się domyślić uczonemu... Był to profesor Choiset z Paryża.

Zawarł on — o czem naturalnie dowiedzieliśmy się później — oryginalną umowę z naszym towarzystwem. Nasz najbliższy okręt towarowy, zdążający do australijskich portów miał zabrać go z ekwipunkiem i wysadzić na wymienionej w umowie, samotnej wyspie na Oceanie Indyjskim.

— Okręty naszego towarzystwa — brzmiała umowa — mają mu dostarczać na to od ludzi żywność, pocztę i t. p. w odstępach mniej więcej miesięcznych... W takich okresach wypadały tury naszych statków, kursujących na linii do Melbourne.

Nawiasem dorzucę tu wyjaśnienie, że prof. Choiset powziął tę decyzję po bardzo burzliwej dyskusji nad jego ostatnią naukową rozprawą, która oprócz sensacji przyniosła mu też kompletne fiasko.

— Ale bliższe wyjaśnienia znajdzie pan w tym notatniku profesora, który... Zresztą najlepiej niech pan sam przeczyta!...

Podsunał mi zniszczony notes. Kartki jego zapisane były drobniem, nerwowem piśmem. Zagłębiłem się w lekturze...

28 marca: Minęły już dwa dni od wylądowania na wyspie. Wstępniemi obserwacjami jestem poprostu wyrażony z równowagi. Miałem przeprowadzić poszukiwania za nieznanym krabem morskim, podobnym do „maja squinado“, którego jedyny okaz w okropnie zrujnowanym stanie dostarczyli mi kiedyś rybacy z wysp Malajskich. — Pamiętną moją rozprawę o tym nieznanym gatunku wyśmiał ten nędznik Bouler, nazywając mój okaz „starym gruchotem“ z rodziny maja squinado“. Bezcelność!... Ja mu jeszcze udowodnię słuszność mych wywodów, przywożąc kilka egzemplarzy tego nieznanego dotąd gatunku. — Ale narazie badania te muszę odłożyć. Jestem bowiem zdumiony poczynionymi odkryciami!... Zaledwie odprawiłem tę bandę marynarzy, którzy z polecenia kapitana stawiali mi namiot na urwistem, skalnem wybrzeżu (i przy tej sposobności uszkodzili moje przyrządy naukowe) — a już na skalistej platformie znalazłem niespodzianie oryginalną muszlę amonit. Po charakterystycznej fałdzistej strukturze zwiniętej muszli i okrągłych wyniosłościach na profilu spirali poznałem, że to „amonites humphriensianus“ z formacji jurasowej. Nie byłoby to nie nadzwyczajnego, (bo odkrycia dokonałem na wapiennym terenie z jury), gdyby nie fakt, że wewnątrz znalazłem rozkładające się szczątki tego mięczaka!... Okres mezozoiczny!... Nie! Chyba jeszcze nie zwarzjowałem... Może jakiś inny osobnik morski zamieszkał w tym prehistorycznym lokalu mezozoicznego głowonoga, a fale wyrzuciły tu muszlę...

Ale skąd do diabła znalazły się w piasku wybrzeża te dziwne kości jakiegoś archaicznego kształtu, które wczoraj przypadkiem wykopałem!... Z tych kilku kawałków ciekawej budowy nie mogłem niestety nie rozpoznać. Mogę jednak śmiało twierdzić, że nie należałyby one do osobnika z obecnie żyjących gatunków...

30 marca: Miałem się poświęcić poszukiwaniom tego nieznanego kraba pośród okazów, których tu na skaliste wybrzeże wiele fale wyrzucają... Lecz niestety... Teraz baczna uwagę skierować muszę na wnętrze wyspy, zarosnięte płataniną podzwrotnikowej flory. Dziś w nocy zbudziły mnie jakies dziwne odgłosy, dolatujące z puszczy. Gdy zaniepokojony wyjrzałem z namiotu, dostrzegłem na jasnym tle świecącej nieba, na skalistym cyplu nad wodą dziwny cień olbrzyma... Nie! To niemożliwe! Może to było złudzenie... Cóż za stwór mógłby mieć blisko 15-metrową wysokość?... Uptęnięto kilka zaledwie sekund, a ciemna masa przy akompaniamencie głuchego łoskotu zniknęła w mroczach gąszczy.

Przyjąłbym, że miałem gorączkę i była to tylko halucynacja, — ale te dziwne, olbrzy-

mie ślady, które rano znalazłem w pianku wybrzeża, biegnące w głąb puszczy...

Czuje się niedobrze... Ale może na ten stan złożyły się wspomniane wypadki, które wytrąciły mnie całkiem z równowagi.

Wieczór: Niestety!... Jednak jestem chory. Mierzylem temperaturę... Mam 39,50... Całą piacę trzeba odłożyć.

2 kwietnia: Ostatnia noc była okropna. Miałem około 400 gorączki. Ale to zdaje się być przełom choroby. We śnie, czy też gorączkowym półśnie dręczyły mnie jakieś dziwne odgłosy. Teraz już nie wiem, czy te okropne nocene hałasowały tylko wytworem majaczącego mózgu...

Ale wreszcie czuję się lepiej. Gdy wróca mi trochę siły, wezmę się do obserwacji.

5 kwietnia: Wczoraj odważyłem się na małą wycieczkę w głąb gąszczy... Doprawdy nie wiem, co o tem sądzić... i co właściwie zapisać... Ze względu na przebytą chorobę nie mogłem odważyć się na dalszą wyprawę w tę dziką płataninę, utrudniającą każdy krok. Do tego nie przywiozłem ze sobą żadnych przyrządów, które mogłyby mi służyć do torowania drogi wśród pędów lian i powoi, wiążących pnie drzew. Po przejściu zaledwie 200 metrów miałem dziwne zaiste i niesamowite spotkanie... Zdołałem przebieść się przez gąszcz ku małej, kilkunastometrowej zaledwie otwartej przestrzeni, w 2/3-ich pokrytej błotnistym moczarem. Miałem właśnie wyjść z gęstwiny, gdy niespodzianie spostrzegłem osobliwe zwierzę po przeciwległej stronie bagniska. Spotkanie trwało zaledwie kilka sekund, bo dziwny okaz spłoszony zapewne moją hałaśliwą nieco przeprawą podrzucił się na krótkich nogach i z impetem skoczył w gęstwiny, pozostawiając za sobą korytarz wybity w głąb.

Mogę przysiąc, że był to „triceratops”... Chociaż widziałem go kilka sekund zaledwie doskonale zaobserwowałem jego budowę. — Charakterystyczna jego sylwetka, podobna do nosorożca wykluczała pomyłkę... Zwłaszcza oryginalna budowa łba, znana dobrze z rekonstrukcji Brytyjskiego Muzeum. — Miał mniej niż u nosorożca rozwinięty róg nosowy, — potężne rogi nad krótkim, płaskim sklepieniem czaski i olbrzymi kołnierzy kostny na karku, którym wyciął korytarz w gąszczy...

Stałem oszupiały... To poprostu niemożliwe!... Przed chwilą widziałem przedhistorycznego roślinożercę z okresu mezozoicznego... — żywego!...

Coś niebywałego! Nogi ugięły się pod mną... Osłabiony usiadłem na ziemi, ocierając zimny pot z czoła.

Przecież wszystkie gatunki nosorożców znam doskonale!... Rhinoceros indicus nie przedstawia dla mnie żadnych trudności przy rozpoznaniu. Wykluczam możliwość życia afrykańskiego gatunku nosorożców na tej wyspie... Ale i ten typ znam doskonale!...

Wszelka pomyłka jest więc wykluczona!...

To był mezozoiczny „triceratops”...

Poczułem, że siły mnie opuściły. Za wieczorem po chorobie wybrałem się na tę wyprawę... — Z trudem dowlokłem się z powrotem do obozu...

8 kwietnia: To był drugi nawrót choroby. Trzy dni walczyłem z gorączką... Jestem bardzo słaby, ale mogę przynajmniej zanotować kilka uwag. Po nieznośnych nocach, pełnych majaczeń i dziwnych hałasów mogę nareszcie trzeźwo pomyśleć...

Nie ulega wątpliwości, że zachowały się tu dziwnie zaiste żywe okazy stworzeń z ubiegłych epok geologicznych... Doszedłem do przekonania, że wyspa ta dzięki niezrozumiałym doprawdy zbiegom okoliczności nie uległa światowemu kataklizmowi. Ponieważ leży ona w sferze równikowej, — nie doznała zapewne również i skutków katastrofalnych skoków temperatury. Cudownym zaiste sposobem utrzymał się tu ten rezerwat światła mezozoicznego, aczkolwiek (jak śmiem sądzić) na wymarcie...

9 kwietnia: Przypuszczenia i wnioski dręczą mnie. Dziś skonstruowałem śmiało, ale najprawdopodobniejszą hipotezę...

Faldowania się skorupy ziemskiej wskutek wewnętrznych zaburzeń w okresie mezozoicznym przyczyniają się do ustalenia pierwszych wzniesień kontynentalnych. Nabierają one cech stałości w triasie i jurze. Uwzględniając translokacje wód z końca formacji jurajskiej i kredowej, uważam, że ta osobliwa wyspa jest szczątkową częścią kontynentu, na którym w pierwszych formacjach okresu mezozoicznego rozwinęły się gatunki tych zwierząt... — Prawdopodobnie wbrew zapatrywaniom nauki, po ruchach skorupy ziemskiej z końcowych faz okresu mezozoicznego, ostała się ta najwyższa część prakontynentu z tym osobliwym rezerwatem... A sprzyjały temu dogodne warunki klimatyczne...

Nie!... Okropne... Z tych rozmyślań gorączki dostanę... (ale zrobić rewolucję w kołach antagonistów moich teorii!...)

Tu rękopis urwał się... Pod datą 13 kwietnia było jeszcze tylko kilka wierszy notatek niewyraźne i nierówne pismo zdradzało, że pisał je człowiek u kresu sił... — ostatnim zapewne wysiłkiem...

„Namiot mój zburzony doszczętnie... — Wszelkie sprzety rozrzucone i pogruhotane... — jakby niebywałą siłą... Stało się to wczoraj w nocy... Nie wiem co to było... Czy potworny huragan, czy też walka jakichś potworów?... Rozbudzony z gorączki słyszałem tylko okropny szum, dziwne głosy, stukot i chrzęsty... Potem niewidzialna siła wgniotła poprostu mój namiot w ziemię... — Straściłem przytomność...

Powróciłem do zmysłów dopiero następnego dnia popołudniu... Gorączka... W nodze ostry ból... — złamana?... Wokoło spu-

stoszenie... Mój stolik, na którym piisałem wgnieciony w twardą, ubitą glebę — jak w bagnisko...

Zamyśliłem się... — Czy można poważnie traktować te ostatnie notatki? — zastanowiłem się w myślach... — Może wysnuła je w gorączce chora wyobraźnia?...

Spojrzałem na kapitana. Siedział zadumany, paląc swą nieodłączną fajkę.

— Mnie właśnie przypadło zawieźć pierwszą przesyłkę profesorowi Choiset na wyspę... — wyjaśnił po chwili. — Po przybyciu na to odludzie, — a było to 18 kwietnia — znaleźliśmy rozburzony namiot i tego biedaka poranionego, nieprzytomnego wśród rozbitych i połamanych przyrządów — dorzucił, widząc moją zadumę, jakby dla wyjaśnienia dręczących mnie myśli. — Lekarz okrętowy stwierdził trzeci nawrót ataku febrы, której nabawił się biedak po przybyciu na tę tropikalną wyspę. Stan jego był już beznadziejny... Dreczony gorączką i jakimś wizjami, zmarł wkrótce po naszym przybyciu — Pochowaliśmy go na wyspie... Zniszczony ekwipunek uczonego nie przedstawiał już żadnej wartości. Wziąłem tylko ten notatnik, który znalazłem przypadkiem.

— Nie przesłał pan tych notatek uniwersytetowi paryskiemu? — zdziwiłem się.

Kapitan uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Wspominałem panu, że prof. Choiset z powodu swych rewelacyjnych tez nie cieszył się popularnością... Raczej uchodził za nieszkodliwego manjaka. — Nieco później zetknąłem się z jakimś młodym docentem, który odbierał w porcie zoologiczną przesyłkę. Wspominałem mu o tych notatkach prof. Choiset. — „Sensacyjne jego notatki nie odegrają żadnej roli. Opinia przyzwyczaiła się już do nieologicznych hipotez prof. Choiset” — odpowiedział mi ów bez zainteresowania.

— Rozumie więc pan moją rezerwę... — zakończył kapitan swoje wyjaśnienia i złożył starannie zniszczony notatnik.

Zapomniawszy o gwarze, którym tętniła tawerna, zapadliśmy w zadumę. Byłem zaskoczony tą opowieścią...

— Doprawdy czy wierzyć?... Może lekceważony i wysłany prof. Choiset istotnie dokonał rewelacyjnego odkrycia?...

Oparłem twarz na dłoń, śledząc błękitną smugę, snującą się leniwie węzowemi skrętami z dogasającego papierosa...

— Ile zagadek czeka jeszcze na rozwiązanie? Ile tajemnic kryje jeszcze świat?

Ostygły popiół zgasłego papierosa opadł białą smugą na czarną zniszczoną taflę stołu, — ostatnimi, drobnymi iskrami znacząc nikły swój ślad...

Myśli moje snuły się wokół tajemniczej wyspy...

Dokończenie ze str. 15-ej.

obtarganych, lub posiłek rodziny proleta rjackiej, gdzie mąż i żona łapczywie, szybko, bez ceregieli, spożywają swą cienką zupkę, a dziecko leży przy piersi matczynej.

Droga, którą poszedł Daumier, wywodzi się bezpośrednio od Goyi. Jego technika, to lapidarna stenografia plastyczna, lecz ożywiona tętnem epickim, co sprawia, że postacie z dzieł Daumiera przybierają wymiary wszech-ludzkie, że stają się przedstawicielami całej ludzkości, Daumier potrafi narysować plecy, z których widać, że ich właściciel milczy zalekniiony, i nie wie, co odpowiedzieć, potrafi wydobyc z rozwianej togi obrońcy wszystkie dramatyczne akcenty jego mowy, czarne i białe plamy sędziów i ustawodawców mieszcza w sobie nieznanne losy zarówno jednostek, jak i całych rzesz ludzkich.

Zwiedzającego wystawę wiedeńską czeka jeszcze jedna wielka niespodzianka, o któ-

rej dotychczas jeszcze nie wspomniano: Daumier jako rzeźbiarz. Ciekawe światło na sposób pracy tego genialnego artysty rzuca geneza tych rzeźb. Modelował je Daumier z natury w glinie, by wykorzystać je do swoich karykatur. To też słusznie uważa Dr. Benesch, jeden z inicjatorów i twórców tej wystawy, że przypominają nam Tintoretta, który na małych figurkach, oświetlonych z różnych stron, studjował cienie i kompozycje grup dla swoich wielkich płócien. Dziś rzeźby Daumiera można oglądać odlane z brązu, dzięki zapobiegliwości przyjaciół i mecenasów artysty, którzy pragnęli je przekazać potomności.

Bodaj czy nie najciekawszą, najbardziej dla Daumiera charakterystyczną z tych rzeźb, to figura Ratapoila, pensjonowanego oficera-bonapartysty, który znalazł się na dnie nędzy, lecz pomimo swej groteskowej chudości i mocno podniszczonej garderoby, zachował jeszcze dawną swoją dumą i

wy nosłą postawę. Ten Ratapoil, to potomek Don Kiszota, lecz zarazem ma on w sobie coś z samego Daumiera, walczącego, jak Don Kiszot, o ideały, zapomniane przez jego epokę, a żywymi w jego własnej piersi, w jego wiecznym młodej duszy kpiarza i marzyciela.

Van Gogh wyraził się kiedyś o Daumierre: „Czasem wydaje mi się, że znalazłem u niego... namiętność, którą porównać można z żarem żelaza, rozpalonego do białości. To samo jest n. p. w niektórych głowach Franciszka Halsy, a jest to czemś tak poważnym, że wydaje się zimnem, lecz skoro tylko przyglądniemy się temu bliżej — jesteśmy zdziwieni, że ktoś, kto pracuje w takim podnieceniu... posiada równocześnie tyle opanowania i tak silną rękę. — W studjach i rysunkach de Groux znalazłem coś podobnego. Może i l'Hermite jest takim do białości rozżarzoną. I także Menzel“.

Wiktor Micherdziński.



FUTERKA

do wieczorowych tualet

Wieczorowe tualety, których okres zbliża się szybkimi krokami, zyskały w Londynie nowy motyw dostojności i wspaniałości przez liczne futra. Niema prawie tualety wieczorowej, któraby ich w większej mierze nie użytkowała. Szczególnie futra małpie cieszą się wielkim powodzeniem, ale pozatem wszystkie cenne gatunki futer, mogące konkurować o berło pierwszeństwa w świecie mody, są reprezentowane w kolekcjach karnawałowych.

Reprodukuje tutaj kilka takich modeli. Widzimy więc suknie z dwustronnej crepe satin w kolorze królewskiej purpury, przybraną srebrnym lisem. Suknia obcisła, przylegająca silnie do talji, z ogromnym dekoltem z przodu i bez pleców, przytrzymała jest na ramionach, jakby rodzajem kołnierza z srebrnego lisa, kołnierza, który spada nisko na linii pasa, odsłaniając z tyłu całe plecy. Z przodu futro ciągnie się od pasa w dół, otaczając szeroko kłozowy dół sukni, nieco rozcięty dołem z lewej strony.

A oto tualeta z velour chiffon w kolorze pomidorowym, przybrana małpiem futrem. Krój dość prosty pozwala na uwydatnienie walorów dekoracyjnych tego niezwyklego przy sukni futra. Zaczniemy od kołnierza. Futерko okala główkę niby kołnierz pierrota, poczem schodzi z obu stron staniczka, ograniczającego się do przodu, gdyż plecy są zupełnie nagie. Silnie kłozowy dół sukni obramowany jest u samego brzegu paskiem tegoż samego futerka, przydając zwiewności całej postaci.

Taftowa ciemno-błękitna suknia ma bardzo oryginalny krój. Znamionuje go kłozowa tunika, która może mieć drugie zastoso-

wanie jako okrywka nagich tu zupełnie pleców. Całą postać opływa ponadto zwiewna gaza w jaśniejszym błękitnym tonie, przydając uroczystego charakteru i może być zastosowana do najbardziej oficjalnych występów na terenie życia towarzyskiego.

Futra jako narzutki t. zw. „Slip-over”.

Nie każdą elegantkę stać na bogate futra w formie płaszczy czy cape'ów, a każda natomiast chciałaby je mieć w swej garderobie. Przychodzi z pomocą pomysłowość modelarzy, którzy tworzą nowe i bardzo efektowne fasony narzutek futrzanych. Można je nosić w dzień i wieczorem. Do kostiumu, płaszcza czy też sukni, a zawsze przydają się każdemu ubiorowi, do którego się je zastosuje. Oto kilka modeli.

Spójrzmy na tę jakby miniaturową kamizelkę z farbowanych gronostaji. (Czyż warto jednak farbować tak wspaniałe futro? Czy nie lepiej użyć do tego celu gronostaji t. zw. letnich o jasno brązowym tonie futerka? Kamizelczkę tę wkłada się przez głowę, zapinając z prawej strony w pasie na duży guzik. Krój to bardzo wyszczuplający przez zwężoną linię pleców. Przód jest nieco szerszy z krawatem futrzanym, biegnącym od stojącego kołnierza, który ładnie od pleców zniża się ku przodowi. Uzupełnieniem tej narzutki jest nieduży zarekawk i czapeczka w stylu kozackim.

Bolerko z perskich baranków, imitujące na ramionach krój rękawa, z kołnierzykiem wysokim, ciasno zapiętym pod szyją na kościany guzik, jakich rząd zapina



Od lewej: Kostjum przybrany rodzajem figarka z piżmaków, tocpek i zarekawk z tego samego futra. — Pelerynkowe bolerko z perskich baranków z wysokim kołnierzykiem, czapka również barankowa z daszkiem z jedwabiu lub aksamitu.



Narzutka pelerynkowa z aksamitu lub puszystej wełny przybrana srebrnym lisem.

Poniżej od lewej: Purpurowa tualeta wieczorowa przybrana srebrnym lisem, tworzącym kołnierz i opływającym talję; tualeta balowa z velour-chiffonu, przybrana małpiem futrem; tualeta taftowa przybrana gazą.



całą narzutkę. Niewątpliwie pomysł bolerka przyszedł tu rysownikowi na myśl, jako reminiscencja wydarzeń na półwyspie iberyjskim. Pomysł się udał i trzeba przyznać, że stanowi bardzo efektowny rodzaj narzutki, uzupełnionej czapeczką à la postillon z lakierowanym daszkiem.

Wkońcu narzutka pelerynkowa z połączenia wełny z srebrnym lisem. Suty kołnierz łączy się z paskiem futrzanym, który przytrzymuje zgrabnie całość narzutki, również dołem obramowanej tem samym cennym futrem. To już wybitnie nadaje się do użytku również i przy sukni wieczorowej, zwłaszcza jeżeli zamiast wełny użyje się aksamitu w dobrym gatunku.

ŻYCIĘ

ARTYSTYCZNE

DEBIUT POETKI W POZNANIU

Prokopieni w tournée po Polsce

SUKCES CZAPLICKIEGO



W styczniu b. r. ukaże się na deskach Teatru Nowego w Poznaniu komedia znanej poetki łódzkiej p. Krystyny Chruścielskiej p. t. „Zorganizowane szaleństwo“. Ze względu na ciekawy temat sztuki, — życie zakulisowe teatru, jego jasne i ciemne strony — przyszła prapremjera budzi wielkie zainteresowanie w szerokich kołach społeczeństwa. Na zdjęciu autorka.



Zdolny i ceniony śpiewak Paweł Prokopieni odbył w ostatnich czasach tournée po Polsce, występując w wielu miastach i zyskując sobie, jak zwykle, szczerze uznanie krytyki i publiczności. Jednym z ostatnich w ub. roku jego występów był dobroczynny koncert na Rodzinę Policyjną w Teatrze Wielkim we Lwowie, podczas którego wykonał liczne arje operowe i pieśni. Wkrótce Prokopieni wyjedzie do Włoch na dalsze studia śpiewu, a przed wyjazdem, w styczniu b. r., gościć będzie w Krakowie, dając dwa koncerty.



W operze warszawskiej wystąpiła ostatnio na cel Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich para znakomych śpiewaków w „Cyruliku Sewilskim“, a mianowicie Ada Sari i Jerzy Czaplicki. Zarówno fenomenalny głos, jak również żywa, pełna humoru gra i olbrzymia werwa Czaplickiego zyskały mu, jak zwykle, entuzjastyczne brawa u publiczności. Na zdjęciu: Jerzy Czaplicki.

LUDWIK SOLSKI W ŁODZI



Znakomity artysta, Ludwik Solski, bawi obecnie na gościnnych występach w Teatrze Miejskim w Łodzi, przypominając publiczności dwie swoje świetne kreacje w „Skapcu“ i w „Fryderyku Wielkim“. Na ilustracji naszej widzimy scenę z „Fryderyka Wielkiego“: Solski w otoczeniu odtwórczyni ról panien Gockowskich: Haliny Łękiej i Władysławy Skwarskiej.



W Teatrze „Cyrulik Warszawski“ wciąż niesłabnącym powodzeniem cieszy się doskonała komedia muzyczna „Król z parasolem“ uświetniona udziałem znakomitego artysty. Kazimierza Junoszy-Stępowskiego. Na naszym zdjęciu scena zbiorowa z (od prawej) Jarossym, Łodą Niemirzanką, Junoszą-Stępowskim, Igo Symem, H. Grossówną i E. Koszutskim.

Gimnastyka kosmetyczna

Sport to zdrowie! — Hasło aż nadto popularne w naszych czasach, by trzeba je jeszcze lansować z pomocą artykułów, udowadniających błogosławiony wpływ ćwiczeń fizycznych na dobre samopoczucie ludzkiego organizmu. Ale nie o to nam dziś chodzi!

Zostawmy zdrowie bodaj na chwilę „na boku”, życząc mu zresztą jaknajlepiej — i zajmijmy się naszym *exterieur*, innymi słowy wyglądem owego futerału, w którym to zdrowie pulsuje. Otóż tu rzecz ma się nieco inaczej z ćwiczeniami fizycznymi.

Wiadomo, jak wyglądają nogi lub n. p. ramiona sportsmenów i sportsmenek przy niewinnych igraszkach z rakieta lub wiosłem kajakowym. A cóż dopiero powiedzieć o dysku, oszczepie, różnych stometrówkach, czy płotkach! Po rocznym ćwiczeniu mięśnie zawodniczki zaczynają wyklówać się spod skóry i aż krzyczą swą „imponującą” formą, burzącą harmonijność budowy jej kobiecego ciała.

Co więc robić? Zdobywać laury na boiskach sportowych, czy królować na estradach konkursów piękności?



Rozłożywszy ręce i stojąc na lewej nodze, robimy ruch obrotowy w lewo, ćwicząc w ten sposób mięśnie brzucha i bioder (ten sam ruch powtarzamy, stojąc na prawej nodze).

Wybór dla ambitnej jednostki naprawdę trudny — sytuacja zgoła beznadziejna, gdy chodzi o kobietę naprawdę piękną, a w dziedzinie sportu szczególnie uzdolnioną.

Ze skrucną przyznać musimy, że jak dotąd „lekarstwa” na te sportowe schorzenia nie wynaleziono i nawet Salon Piękności „Asa” mimo wielu już innych sukcesów nie może się jeszcze poszczycić zdobyciem skutecznej w tej dziedzinie metody, umożliwiającej zachowanie fizycznego piękna u zawodniczek.

* * *

Chyba zupełnie przypadkowo postarano się — gdzie? naturalnie w Ameryce — o wprężenie ćwiczeń fizycznych w rydwan wszechwładnej dziś sztuki kosmetycznej, zamieniając to, co każdy nazwie paradoksem, w logiczną rzeczywistość. Bo jakże inaczej oceniać sytuację, wytworzoną przez mistrza J. Sotina z Los Angeles, który gimnastykę — a więc przyczynę rozbudowy mięśni i co zatem idzie spaczenia harmonijności kształtów ciała kobiecego — użył do utrzymania tej harmonijności, atakowanej np. przez



Za chwilę, stojąc na palcach, pochylimy się w przód, dotykając rękami posadzki.

Tu znowu ćwiczymy mięśnie rąk i nóg przez zginanie ich w rytmicznych ruchach.

Kolejne wyrzucanie w bok nogi i ręki wyrabia elastyczność stawów.



Od utrzymania równowagi w tej pozycji zależy skuteczność ćwiczenia.

swobodny dobór pożywienia, lub — co gorsze — przez... starość.

Sotini twierdzi, iż kobiety młode bynajmniej nie są zwolnione od obowiązku ustawicznego czuwania nad swą urodą, jeśli pragną zachować ją na długie lata. I tu właściwie trzeba mu przyznać rację! Bo weźmy pod uwagę np. damę, najpiękniej pod słońcem zbudowaną, która lubi... słodycze. Pod wpływem tej „słodkiej namiętności“ z areydziała natury, jakim jest piękna kobieta, pozostanie po krótkim stosunkowo czasie istna ruina, o ile rzecz prosta nasz lekkoduch nie okaże zawczasu wstrzeźliwości w konsumowaniu wyrobów Wedla, czy innego Piaseckiego.

Tak było dotąd! Od dnia dzisiejszego, dzięki mr. Sotiniowi z Los Angeles, będziecie mogły — urocze Czytelniczki — jeść dowoli i co tylko „dusza wasza zapagnie“. Pod jednym jednak, małym warunkiem: —



Na prawo: Opierając się na palcach nóg i dłoniach podnosimy się na rękach (cała postać wyprostowana).



Poniżej: Pierwsza figura przy ćwiczeniu ruchu nóg. (Patrz na prawo).

Przy pochyleniu ciała w przód, ćwiczymy skrecając ramiona raz w lewo, raz w prawo.

Ćwiczenia wykonuje Jane Hamilton, artystka wytw. R. K. O.

Poniżej: Druga figura przy ćwiczeniu nóg. (patrz na lewo).

musicie co rano, zaraz po wstaniu z łóżka, wykonać kilka ćwiczeń gimnastycznych, uwidoczonych na naszych fotografiach. Mają one podobno znacznie skuteczniej wpływać na resorbcję zbędnego tłuszczu, nie spalonego przez organizm, niż najbardziej nawet wyszukane masaże. Nie wolno zapominać także o tem, że ma to być gimnastyka kosmetyczna i jako taka winna być stosowana niezwykle umiarkowanie. Sprawdzianem skuteczności będzie tu nie spadek na wadze, lecz odpowiednia redukcja centymetrów miary.

Urocza Jane Hamilton, artystka wytwórni R. K. O., którą widzimy na zdjęciach, oświadczyła przedstawicielowi prasy amerykańskiej, że wierzy w skuteczność metody mr. Sotina. Artystka przestrzega jednak przed złudną nadzieją przywrócenia tą metodą dawno utraczonych, lub nigdy nie posiadanych wdzięków. Gimnastyka kosmetyczna służy bowiem wyłącznie do konserwacji istniejącego piękna.

mgr. L.



odnoszące się do naszego kalendarzyka —
obliczone na 3—4 osoby.

SOS OSTRY „A LA DIABLE“. Uduśić w maśle dwie poszatkowane cebule, marchewkę, pietruszkę, kawałek selera, dodać parę ziarn angielskiego i czarnego pieprzu. listek bobkowy i parę listków estragonu albo tymianku. Kiedy jarzyny zmiękną, przetrzeć wszystko przez sito. zmieszać z rumianą zasmażką z łyżki masła i mąki, podać zimnym rosółem lub rozpuszczonym buljonem, zagotować i zaprawić łyżeczką papryki, dwoma łyżkami octu, szklanceczką wina czerwonego, solą i cukrem wedle smaku, zagotować raz jeszcze i odstawić.

Przed podaniem dorzucić kilka marynowanych grzybków, korniszonów i szalotek. Dodatek angielskiego sosu Soya lub Cabul podnosi znacznie smak tego sosu, który się podaje na gorąco do wszelkich smażonych mięs, zwierzyny i sztuki mięsa.

SALAATKA FASOLKOWA Z CHRZANEM. Fasolkę salutową ugotowaną w małej ilości wody na miękko, soli się (dopiero po ugotowaniu!), dodaje drobno siekanej cebulki, octu, oliwy i pieprzu, lub też łyżkę majonezu. Wszystko to rozprowadzić octem i zmieszać z fasolką. Salaterkę natrzeć lekko przekrojonym ząbkim czosnku, nałożyć salatkę i posypać po wierzchu drobno utartym chrzanem.

ROSBEF PO ANGIELSKU. 1 kilogram rosbefu odkroić od kości, odjąć skórę z boków i zbić pałką, następnie oblać oliwą, obłożyć plasterkami cebuli, ułożyć na talerzu, przycisnąć z wierzchu drugim talerzykiem i odstawić przynajmniej na 12 godzin, aby skruszał. Tuż przed obiadem oprósza się mięso z obu stron mąką, obrumienia z obu stron na ostrym ogniu i wstawia do gorącego piecyka na 15—20 minut.

Podczas pieczenia otwiera się raz tylko piecyk, aby pieczeń oblać rozpalonym masłem, przyczem wystrzegać się należy dotykania mięsa widełcem, aby go nie pozbawić soku. Gotowy rosbef wyjmuje się na półmisek, zaś na pozostałym maśle smaży się krawki cebuli, którą się posypuje mięso pokrajane poprzecznie w cienkie plasty.

Rosbef angielski jest też doskonały na zimno z sosem tatarskim.

PULARDA LUB INDYCZKA PIECZONA. Szyję młodej pulardy lub indyczki napełnia się nadzianką z bułki lub mielonego mięsa cielecego, utartego z jajem i zmieszanego z pokrajaną wytróbką. Po zaszyciu szyjki układa się drób na brytwannie, podlewa wodą, przykrywa szczelną pokrywą i gotuje około godzinę, następnie wstawia odkryte do piecyka i piecze przy częstym polewaniu.

Cheąc uzyskać pięknie zrumienioną pieczęstę, zastosowuje się trzę zdradzoną mi przez wytrawnego kucharza. Otóż gotowy drób, tj. miękki, lecz jeszcze dostatecznie nie zrumieniony, smaruje się żółtkiem i wstawia na kilka minut do piecyka, poczem nabierze pięknego złocistego koloru.

Potrądzoną pulardę zestawia się z powrotem w całość na półmisku. Po bokach układa się w plasty pokrajaną nadzianą szyję i wykrawane ziemniaczki naprzemian z jarzynkami. Osobno kompot lub marynaty jarzynowe.

TORT Z BIAŁEK. 6 białek ubić na tęgą pianę, domieszać ubijając 25 dkg mączki cukrowej, potem 10 dkg mielonych orzechów i 3 łyżki mąki. Masę wylać do formy natartej masłem i upiec. Po ostudzeniu przekroić i napełnić następującym kremem: 3 dkg zmielonej dobrej kawy, zaparzyć 1/4 l. śmietanki, osobno utrzeć 2 żółtka z 10 dkg cukru i łyżeczką mąki, zalać gorącą kawą i zaciągnąć jeszcze na ogniu, aby krem dobrze zgęstniał. Pod koniec domieszać po trochu 5 dkg masła deserowego. Napełniony tort smaruje się z wierzchu i po bokach kremem i posypuje mielonymi orzechami lub tartą czekoladą.

PACZKI. Pierwszym warunkiem udania się paczków jest ciepło. Ciepłą musi być mąka, ciepłe dodatki i narzędzia, tj. stolnica, walek etc. Również w kuchni musi być ciepło, a przeciwnie, to już najgorszy wróg paczków. Następnie tłuszcz musi być mieszany: najlepszy wieprzowy z topionym masłem. Samo masło nie wytrzymuje tak wysokiej temperatury, jakiej w tym wypadku potrzeba. Spali się przy pierwszej próbie. Dalszym wymogiem jest skręcony w pentelkę drut do odwracania paczków. Paczki nie wolno tknąć widełcem; pokłuty paczek nasiąknie tłuszczem, opadnie na spód i po nim. Wkońcu jeszcze główny trzę: ciasto powinno rość tylko raz jeden, tj. już po nadzianiu i wykrojeniu.

Stara recepta na paczki: 3/8 l. letniego mleka, tj. mniej więcej półtora szklanki podzielić na trzy części. W jednej rozpuścić 3 dkg drożdży i postawić w ciepłe. Do drugiej dać 10 dkg masła i roztopić, do trzeciej wbić 6—8 (więcej nigdy nie szkodzi) żółtek i rozkłuć doskonale. Do ogrzanej miski przesiać 60 dkg mąki, wymieszać z małą łyżeczką soli i dodać 4 dkg cukru oraz resztę dodatków. kieliszek rumu i wybić ciasto łyżką pół godziny. Potem wyłożyć połowę ciasta na ciepłą (!) stolnicę, rozwałkować na grubość palca, poznać krawkiem, nie wycinając do dna, nakładać suchą konfiturę, przykryć drugą połową ciasta, przyciskać palcami dookoła, aby konfitura nie wypłynęła i wykrawać ostatecznie wycinaczem. Układać na ogrzanej i pomączonej serwecie i ustawić w ciepłe. Z tej ilości dodatków będzie około 50 paczków.

Se. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO.



Zwłaszcza gdy kuchnia jest mała, gospodyni domu musi walczyć o praktyczne użytkowanie miejsca, to też obok zreprodukowany praktyczny stół kuchenny będzie niewątpliwie meblem wręcz nieodzownym. Jak widzimy na zdjęciu — wewnątrz stołu znajduje się miejsce na zmywanie naczyń, „blat“ zaś stołu jest rozsuwany i służy do odkładania zmytych talerzy.

7 ♦ DNI ♦ DOBREJ ♦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 2		Styczeń	
		31 dni	
NIEDZIELA	3	Consonne w filiżankach. Sałatka w kolo-rach. Pularda lub indyczka pieczona, kompot. Tort z białek. <u>Kolacja:</u> Zimny drób z sałatką.	
Genowefy			
PONIEDZ.	4	Rosół z grzybkami. Sztuka mięsa z sosem "a la Diable". Zając w śmietanie z makaronem. Kompot brusznicowy. Biszkopt z szodonom. <u>Kolacja:</u> Płatki z szynką nie wypiekane.	
Eugenjusza			
WTOREK	5	Zupa węgierska "gulyas". Salsafia smażona w cieście. Poledwica wieprzowa z kapustą. Legomina z czerstwej strucli. <u>Kolacja:</u> Kotlety ziemniaczane z kiełbasą.	
Telesfora			
ŚRODA	6	Zupa neapolitańska z ryżem. Paszteciki z mózdzkiem. Rosbef z ryżem. Paszteciki z ryżem. Tort orzechowy z kremem kawowym. <u>Kolacja:</u> Zimny rosbef z tatarskim sosem. Paczki do herbaty.	
Trzech Króli			
CZWARTEK	7	Zupa na podróbkach. Wątróbka gęsia z ryżem. Sztufada z pieczeni cielecej, ziemniaczki i marchewka. Suflet jabłeczny. <u>Kolacja:</u> Rizotto.	
Walentego			
PIĄTEK	8	Zupa grzybowa z płatkami. Kaszka krakowska z twardym jajem. Karp z wody z masłem. Strudel z jabłkami. <u>Kolacja:</u> Wędzone ryby, ziemniaczki w mundurkach.	
Seweryna			
SOBOTA	9	Zupa jarzynowa puree z grzankami. Smażone nóżki wieprzowe z ostrym sosem. Pieczeń sarnia z brusznicami /borówkami/. Legomina czekoladowa. <u>Kolacja:</u> Parówki z chrzanem.	
Juljanny			

HOCKI-KLOCKI

POCHÓD CYWILIZACJI



Nowoczesny sklep w Afryce...

CHARLIE

Rys. Charlie.

Zagadka sylabowa.

Ułożył J. Piękniewski, Łódź.



Posuwając się co pewną ilość miejsc w kierunku zegarowym należy ułożyć zdanie, będące znanym przysłowiem.

Rozwiązania z N-ru 52-go.

SPACER PANA KANARKA.

Odległość do miasteczka wynosi $13\frac{1}{3}$ km. W tamtą stronę pan Kanarek idzie $2\frac{1}{4}$ godziny, wraca zaś $4\frac{1}{4}$ godziny, co razem daje 7 godzin.

ZARAZ, ZARAZ, ZARAZ...

Każde odczytanie musi się zaczynać od Z, a ponieważ rysunek posiada ich cztery, więc mamy cztery punkty wyjścia. Istnieje 20 różnych sposobów czytania słowa „Zaraz” przy zaczynaniu od tego samego Z, dlatego wszystkich możliwych sposobów odczytania tego wyrazu jest 80.

NASZYJNIKI.

W tych warunkach można ułożyć z ośmiu paciorków 30 różnych naszyjników. Ogólne rozwiązanie dla każdej ilości koralików jest bardzo trudne, ale dla ośmiu paciorków można je łatwo znaleźć metodą prób.

CZY ZGADNIECIE?

1. Zwykło się mówić w odpowiedzi na zamieszczone zadanie, że jeden z chłopców ma lat 10 a drugi rok. Tak jednak nie jest: różnica wieku wynosiłaby wtedy nie 10 lat a 9. Ażeby rozwiązanie odpowiadało warunkom zadania musimy przyjąć, że jeden chłopiec ma 10 i pół roku a drugi pół roku.

II. Zadanie to bywa rozwiązywane rozmaicie. Przeważnie ludzie zwykli iść łatwą napozór drogą liczenia. Skoro jest osiem stacyj na linii okólnej, jest zatem osiem torów, wychodzących z dworca centralnego. Ponieważ zaś na każdym torze jest 5 stacyj, wydaje się rachunek prosty: $5 \times 8 = 40$. Rachunek ten jest jednak zły. Promieni z rzeczywistości jest osiem. Na każdym z nich jest razem z dworcem centralnym stacyj 5. Bez dworca jest tych stacyj 4. Na ośmiu zatem promieniach jest stacyj 32. Jeżeli do tej ilości dodamy dworzec centralny, otrzymamy stacyj 33.

III. Na to pytanie jest wiele dowcipnych odpowiedzi. Mówi się n. p., że przyczyną idącą za skutkiem, jest lekarz idący za trumną pacjenta. W naszym wypadku jest to człowiek, pechający taczki.

Czy zgadnicie?

IV. Nauczyciel rozmieścił uczniów w klasie po dwóch w każdej ławce, okazało się jednak, że dla szczęściu brakło miejsca. Przesadził ich więc po trzech w ławce, a wtedy znowu dwie ławki były puste. Ilu było uczniów i ławek w klasie?

ZAWSZE ZAPÓZNO.

— A więc oskarżony znalazł portfel z pieniędzmi o godzinie 10-tej wieczorem. W portfelu był adres poszkodowanego. Dlaczego oskarżony nie zwrócił go prawemu właścicielowi?

— Panie sędzio, przecież było już *tak późno*...

— A nazajutrz?

— Nazajutrz było już... *z a p ó z n o*.

JEGO UDZIAŁ.

— Chłopey, czy nie wstyd wam w piątkę walić jednego?

— Proszę pana, on sam nas o to prosił.

— Jakto?

— Bo powiedział nam, że u sąsiada w piwnicy są śliczne jabłka i że możemy wejść przez okno i nabrać, ile tylko chcemy. Ale prosił nas, żebyśmy mu dali część tego, co my dostaniemy. Właśnie oddajemy mu jego część.

WYGODNY ZAWÓD.

Jasiu, czem chciałbyś zostać?

— Świętym Mikołajem albo aniołkiem na Boże Narodzenie.

— To zapewne dlatego, bo oni roznoszą zabawki?

— Nie, mamusiu, tylko dlatego, że oni pracują raz w roku!

DZIWNE WYMAGANIE.

— Panie kandydacie, proszę mi wymienić nazwy poszczególnych jelit.

— Po...poszczególnie czę...części...

— Panie kandydacie, jeżeli pan nie ma wszystkich jelit w głowie, to szkoda, żebym pana pytał!

ZA KRATKAMI.



— Mówią, że to ostatni krzyk modły!...
„Bie et Rac”

WSZYSTKO WEDŁUG PLANU.



Oficer do komendanta twierdzy: — Proszę się pośpieszyć z poddaniem zamku! Dzisiaj muszę jeszcze zdobyć trzy placówki!...
„Bie et Rac”

PEDANT.



— Niech pan zaborczo nie popycha, gdyż i tak jedziemy prędzej, niż przewiduje rozkład jazdy!...
„Bie et Rac”

To warto poznać..

NA SCENIE.

W Krakowie Teatr Im. J. Słowackiego wystawił „Opowieść wigilijna”, sztukę opracowaną na scenę według powieści Karola Dickensa, przez Brumera i Radulskiego, który ją wyreżyserował. Dano nastrojowe, piękne widowisko, uwypuklające poezję i humor dzieła Dickensa, oraz jego tendencje społeczne. Opracowanie sceniczne nie uroniło nic z piękna utworu, a zasługa to również i przedewszystkiem dekoratora, młodego artysty Tadeusza Orłowicza, który dał znakomitą oprawę malarską. Jego dekoracje i rekwizyty są stylowe, mają realistyczno-fantastyczny wyraz, malarski smak i wirtuozję, a również i sceniczny sens. Aktorsko „Opowieść wigilijna” przygotowana została bardzo starannie, a na czoło wykonawców wysunął się Józef Karbowski, który w roli Scroogea dał doskonałą kreację, podkreślając złość i chciwość starego skąpca, pod wpływem zjaw przemieniającego się w dobrego filantropa. Inne role przeważnie epizodyczne, odtworzyli bardzo dobrze Woźnik, Fabisiak, Węgrzyn, Opaliński, Kopezewski, Turski, Kepka, Filipowska, Rajkowska i w. in. Tekst autora wygłasza Burnatowicz, tańce przygotowała Bielska, a niezwykle piękną ilustrację muzyczną Widowski, które zachwyci dzieci i młodzież, a spodoba się i dorosłym.

W Warszawie Teatr Nowy wystąpił z premierą bardzo ciekawej sztuki Jana Giradoux „Judyta”, w przekładzie Zofji Nalkowskiej. Sztuka daje jakby „biologiczną mitę”. W ostatnich bowiem czasach urodziła się nowa forma dramatyczna — jak powiada Boy-Zeleński — „odnawiająca również dawne mity, ale kształtująca je w swobodnej, przekornej i paradoksalnej wersji. Teatr ten na pograniczu żartu i wzruszenia, pietyzmu i profanacji, bardzo intelektualny i wyrafinowany świadomie gra z anachronizmem, przeświata stare klechdy nowoczesną psychologią, wkłada bohaterom w usta pełną drażniącą poezję prozą, urągającą wszystkim „kolorytom lokalnym” i „prawdziwie epoki”, prozą iskrzącą się od puent i nieoczekiwanych skojarzeń konceptu. Zostają z dawnych mitów ich krwawe rozwiązania, ale odrealnione, zneutralizowane ciągłą zmianą planów, niespodzianką zestawień, raczej mające wywołać filozoficzny uśmiech niż grozę”. Sztukę warto poznać, a przedstawienie zobaczyć, by porównać

swój sąd z opiniami krytyków, gdyż nawet gra artystów, zwłaszcza Eichlerówny, wywołała rozbieżne zdania. Obok świetnej artystki biorą udział w przedstawieniu Damięcki, Tatariewicz-Woskowska, Wyrzykowski, Łuszczewski, Ciecierski, Socha, a przedstawienie reżysero przygotował L. Schiller. Dekoracje dała Roszkowska. (h.)



JAROSŁAW IWASZKIEWICZ.

Jeden z najznakomitszych prozatorów w naszej literaturze współczesnej, wydał ostatnio dwie nowele w zbiorze p. t. „Młyn nad Uratą” oraz zadebiutował na scenie Teatru Małego w Warszawie świetną komedią „Lato w No-hant”.

NOWE KSIĄŻKI

O „Pannaach z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza napisał Jan Lechoń, że najpiękniejszą z nich jest „owa dojrzałość rozumna, u pełna zdrowia, owa poezja mekska, smutna a krzepiąca, która nurtuje pod niezwykłą a tak prostą i chyba najpiękniejszą od czasów Zeromskiego napisaną po polsku opowieścią...” Podobny sąd możnaby powtórzyć o iowym tomie Iwaszkiewicza „Młyn nad Uratą” (nakład Gebethnera i Wolffa), który obok tytułowego opowiadania zawiera jeszcze drugie p. t.: „Nauczyciel”.

Przy lekturze opowieści Iwaszkiewicza, przedewszystkiem zwróciła na czytelnika niesłychana klarowność i prostota stylu, piękny, jedyny język, iadzwyczaj plastyczny, a nieprzypadkowy barokością obrazowania, oraz doskonała zwięzłość kompozycji i jej dynamika, prowadząca w „Nauczycielu” od sielanki szybko ku dramatycznym efektom. Orygi-

nalna jest kompozycja opowiadania „Młyn nad Uratą”: opowieść rozpoczyna się od wizyty autora na dwóch grobach. Autor, zaciekawiony mogiłami, zbiera informacje o spoczywających w nich osobach i nibyto na podstawie tych informacji snuje opowieść, która, wiemy to, musi się skończyć tragicznie. I dlatego czytamy tę nowelę w specjalnym nastroju.

Słusznie podkreślano niejednokrotnie muzyczność prozy Iwaszkiewicza i umiejętne uwypuklenie w opisach piękna przyrody. Przyroda w twórczości Iwaszkiewicza naprawdę żyje, rośnie, barwi się i pachnie. Wystarczy zacytować dwa zdania z „Nauczyciela”: „Widzę, na przykład, ich kiedyś, pewnego słonecznego popołudnia, nad stawem. Drzewa już są prawie rozwinięte i orszak starych wierzby nad wodą, odkryty obłokiem wczesnej zieleni, pachnie mocno pieprzowym zapachem karczidła”.

Oba opowiadania poświęcone są występnej miłości, która rodzi tragedje. Iwaszkiewicz, bystry obserwator realizmu, jest równocześnie dogłębnym psychologiem, a wierząc, że człowiek jest igraszka w rękach losu, świetnie, z niesłychaną prostotą oddwarza najzawilsze stany uczuć psychicznych. Spojrzenie na życie Iwaszkiewicza jest nawskróś męskie, kobieta jest dla niego najczęściej przyczyną nieszczęść mężczyzny, który bezbronny pada jej ofiarą. W obu wspomnianych tu opowiadaniach namierzono kobietę, względnie ślepe pożądanie mężczyzny, zabija go moralnie i fizycznie.

Podkreślić jeszcze należy dyskrete, z jaką Iwaszkiewicz omawia t. zw. drażliwe tematy. (swb)



Niedziela, 3 stycznia.

- 8.00 Audycja poranna.
- 9.00 Transmisja nabożeństwa.
- 10.30 Koncert rozrywkowy.
- 12.03 Poranek muzyczny.
- 14.30 Muzyka o słońcu (płyty).
- 14.50 Kalendarz i pieśni białoruskie na Boże Narodzenie.
- 15.30 „Audycja dla wsi”.
- 16.30 Fragment słuchowiskowy.
- 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
- 17.55 „Szczęśliwego Nowego Roku (dla całego świata)”. Transmisja z Berlina.
- 19.20 Stylizowane tańce wszystkich czasów (płyty).
- 21.00 „Na wesolej lwowskiej fali”.
- 21.30 Utwory fortepianowe odegra Janna Familier-Ileppner.
- 22.00 Koncert orkiestry wileńskiej.
- 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 4 stycznia.

- 6.30 Audycja poranna.
- 12.03 „Uroczyste marsze” — koncert orkiestry wojskowej.
- 12.50 „Dziecko a szkoła” — pogadanka.
- 15.15 „Jazzowe rytmy w piosence” — koncert rozrywkowy.
- 15.55 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
- 16.30 Zespół Pawła Rynasa.
- 17.15 Koncert solistów.
- 17.50 „Podługonowe zwierzątko w tarzańskim stawie” — odczyt.
- 18.50 „Solyts w gromadzie” — pogadanka.

- 19.30 Koncert Malej Orkiestry Polskiego Radja.
- 21.00 „Z epoki nagiej duszy” — wieczór literacki.
- 21.30 Koncert Chóru Spiewackiego Zw. Chłopców z Turynji.
- 22.00 Koncert symfoniczny.
- 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 5 stycznia.

- 12.03 „Transkrypcje instrumentalne aryj i pieśni” (płyty).
- 15.15 Muzyka lekka w wyk. Malej Orkiestry P. R.
- 16.30 Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
- 17.10 Powieść mówiona.
- 17.25 Robert Schumann: Sonata d-moll.
- 17.50 „Gdzie moje okulary” — monolog Józefa Czyścieckiego.
- 19.00 Dyskutowy: „O granice odbronzowywania”.
- 19.20 Polska Kapela Ludowa F. Dzieżanowskiego.
- 20.00 „Zartów moc wielka za pół rubelka” — aud. muz.
- 21.00 „Dumki i tańce polskie” koncert Orkiestry Symf.
- 22.30 „Zeglarz po morzu ciemności”, szkic literacki.
- 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, 6 stycznia.

- 8.00 Audycja poranna.
- 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa.
- 12.03 Poranek muzyczny.
- 11.30 „Pawłus wędruje” — słuchowisko wiedeńskie.
- 15.00 „1000 taktów muzyki” — gra zespół St. Rachonia.
- 15.15 „Szopka” — Or-Ota, słuchowisko dla dzieci.
- 16.30 „Płyta za płytą” — muzyka taneczna.
- 17.30 „Okolendowanie” — audycja z Krakowa.
- 18.00 „Godzina muzyki francuskiej”.
- 19.35 „Kolejnicy pod oknem” — regionalna audycja ukraińska.
- 20.05 Chór Dana i orkiestra Poulanguera (płyty).
- 21.00 „Opowieść o Chopinie” — VII wieczór „Humor Chopina”.
- 21.45 Kolejny w wyk. Poznańskiego Chóru Katedralnego.
- 22.15 Muzyka taneczna.

Czwartek, 7 stycznia.

- 12.03 Koncert południowy.
- 15.15 Muzyka lekka.
- 16.35 Koncert Malej Orkiestry Polskiego Radja.
- 17.00 „Kryzysowy bridż” — odczyt.
- 17.15 Aleksander Borodin: Kwartet A-dur.
- 17.50 „Mickiewicz i Słowiańszczyzna w świetle najnowszych badań” — odczyt.
- 19.00 Premiera słuchowiska p. t. „Zaczyna się dzień”.
- 19.35 Muzyka taneczna.
- 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich — Piotr Rydel”.
- 21.35 Koncert orkiestry T. Seredyńskiego.
- 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, 8 stycznia.

- 12.03 Koncert wojskowej orkiestry dętej (z Wilna).
- 15.15 Koncert rozrywkowy.
- 16.30 Łódzka orkiestra salonowa (z Łodzi).
- 17.00 „Bramy morza Śródziemnego”, feljton.
- 18.00 „Miłość” — fragment noweli.
- 19.20 „Z pieśnią po kraju”.
- 19.45 Kwadrans fortepianowej muzyki jazzowej.
- 20.00 IV pogadanka z cyklu „O instrumentalach ork. symf.”.
- 20.15 „Opowieści Hoffmana”, opera.
- 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, 9 stycznia.

- 12.03 Koncert Malej Orkiestry P. R.
- 15.15 Koncert rozrywkowy.
- 16.15 „Obrazki karnawałowe z dawnych czasów”.
- 17.00 Koncert solistów.
- 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
- 19.30 Muzyka taneczna w wyk. Malej Orkiestry P. R.
- 21.00 Koncert.
- 22.00 „Telefon usprawnia życie” — wesola audycja.
- 22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.